



52

48<sup>a</sup>

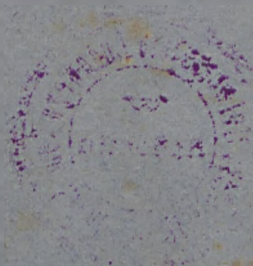
~~591~~

~~13. 21~~

~~153~~

~~33~~

OBRAZKI.



48a

591

# OBRAZKI

02062

przez

*Józefa Blizińskiego.*



WARSZAWA  
Nakładem Redakcyi „Gazety Polskiej”  
Druk J. Sikorskiego Walecka 14.

1898.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ  
Варшава, 3 Ноября 1898 г. р. л.

*Józef Bliziński.*

Żart dobroduszny, nieraz dosadny i rażący wy-  
delikaczone buduarowe ucho, weselość szczerą, do sze-  
rokiego uśmiechu zmuszająca, zmysł praktyczny, lecz  
nie zacieśniający znaczenia praktyczności do miałkich  
i płytkich stosunków życia codziennego; oto kilka cech  
znamiennych dawnego „humoru” polskiego, bardzo  
różnego od łzawo—szyderskich jego przejawów u An-  
glików. Cechy te u nikogo z nowszych pisarzy na-  
szych nie ujawniły się tak silnie i tak dodatnio jak  
u Blizińskiego, przede wszystkim w jego komedjach  
nawskroś swojskich, a również w jego nowellach  
i obrazkach. Można śmiało twierdzić, że je zawdzię-  
czał swemu szlacheckiemu pochodzeniu i swemu bar-  
dzo długiemu pobytowi na wsi, gdzie wierniej i trwa-  
lej, niż w mieście, przechowują się znamiona prze-  
szłości.



Bliziński urodził się w Warszawie, 10-go marca 1827 roku, tu uczęszczał do gimnazjum gubernialnego, które opuścił z patentem dojrzałości w 1843, tu wreszcie przez rok jeden chodził na tak zwane wówczas „kursa prawne“. Ale w 18-ym roku życia przeniósł się na wieś do odziedziczonego majątku w powiecie włocławskim, oddał się gospodarstwu, podzielał ze spółziemianami ich zajęcia i zabawy, tem się chyba tylko od ogółu wyróżniając, że miał zamiłowanie do książek, że, lubiąc teatr, robił przekłady sztuk dramatycznych.

O samodzielnem tworzeniu długo nie pomyślał wcale i wogóle nigdy się nie odznaczał obfitą twórczością pisarską. Pierwszą jego próbą w tym względzie był jednoaktowy obrazek dramatyczny, napisany wierszem, p. t. „Imieniny“, drukowany w roku 1860 w „Gazecie Codziennej“, która, jak wiadomo, była poprzedniczką dzisiejszej „Polskiej“, a zostawała wtedy pod redakcją Kraszewskiego.

Była to rzecz napisana w duchu i stylu komedii Korzeniowskiego. Przedstawiono tu sobkostwo, matteryalizowanie, cynizm, bałwochwalczą cześć dla pieniędzy wśród wielu jednostek warstwy szlacheckiej, przedewszystkiem w dyalogach obszernych, odznaczających się nieraz dobitnem i znamiennem wyrażeniem; intrygi prawie wcale tu niema, prócz udziału sług w całkiem nieumotywowanej zresztą ucieczce milionowej sieroty Pauliny, którą, skąpi, lecz wystawnością wobec ludzi popisywać się lubiący, opiekunowie chcie-

liby wydać za protegowanych przez siebie konkurentów...

Chociaż Kraszewski zachęcał autora „Imienin“ do pracy dalszej, nie brał się on do niej rąco. Częścią niepochochność do pióra, częścią wypadki, niebawem nadeszłe, sprawiły, że do komedyopisarstwa zabrakł się Bliziński dopiero w 10 lat po swym pierwszym obrazku. Na to dziesięciolecie przypadają pierwsze powiastki naszego autora, drukowane w różnych czasopismach. Należą do nich: „Wyprawa pana Prota“, „Uprzedzenia sąsiedzkie“, „Sprawa honorowa“ i inne.

Dopiero w roku 1871 ukazuje się w „Gazecie Polskiej“ druga z kolei komedia Blizińskiego p. t. „Przezorna mama“ (w 3-ch aktach, prozą). Więcej tu ruchu, akcji, aniżeli w „Imieninach“. Bohaterka Mania co do energii i śmiałości ma dużo podobieństwa z Pauliną; w malowaniu szczegółów życia u wód krajowych wiele jest prawdy, ale całość sprawia wrażenie rzeczy umyślnie dla efektu komicznego naciąganej: główną dźwignią dyalogu w miejscach najdramatyczniejszych jest wzajemne nierozumienie się—a potem wyjaśnienia. Siła komiczna jest tu już wszakże bardzo widoczna; a plastyka w odtwarzaniu sytuacji zabawnych—niepospolita.

Niebawem potem, bo w roku 1873 zjawila się również w „Gazecie Polskiej“ jednoaktowa komedijka p. t. „Marcowy kawaler“. Dwie tu postaci: tytułowego bohatera, obywatela ziemskiego, i gospodyni jego, Pawłowej, zostały wybornie obrobione; są to oso-

bistości nawskroś swojskie. Przyzwyczajenie do wygód, bez krępowania się jakimiśkolwiek konwenansami z jednej strony, a z drugiej przywiązanie kobiety prostej, ale rozgarniętej i umiejącej się doskonale posługiwać przysłowiami, wytwarzają stosunek dziwny napozór, lecz prawdopodobny, który zakończy się pewnie małżeństwem, jak tego nieraz bywały u nas przykłady.

Odtąd już prawie rok rocznie wzbogacał Bliziński repertuar naszej sceny. Z roku 1874 pochodzi jednoaktówka „Ojczulek“, w której postać naczelną prezesa dozoru kościelnego, przedstawiciela samolubstwa i chciwości, z pozorami poświęcenia się dla idei obowiązku, wykończona została we wszystkich szczegółach, gdy inne figury, ze szkodą całości, są zaniedbane. W roku 1875 przybyła znowu jednoaktówka p. t. „Chleb ludzi bodzie“, grana w teatrach pod zmienionym napisem: „Mośkowe swaty“. Zbogacona rodzina szynkarzów kupuje wieś nieopatrznie i pragnęłaby wejść w sferę obywatelską przez wydanie swej córki za szlachcica. Pośredniczy w tym względzie żyd, wprowadzając do domu Kiksiewiczów mniemanego hrabiego z najętym lokajem, który jako markier znał się dawniej z Kiksiewiczami. Rezolutna Jadwina odsuwa natrętne zaloty, mając już upatrzonego wybrańca: swaty żydowskie nie dochodzą do skutku.

W roku 1876 przeniósł się Bliziński do Galicji, gdzie nabył wieś Bóbrkę, w powiecie liskim, i przebył w niej lat 12, walcząc z trudnościami i kłopotami gospodarskimi, układając dopełnienia do Słownika Lin-

dego (kilkanaście tysięcy wyrazów) i biorąc udział w życiu literackim. Nie mógł jednak wytrzymać na tem stanowisku; w połowie r. 1888 musiał się wreszcie przenieść do Krakowa, gdzie już pozostał do śmierci, która go nam zabrała 29 kwietnia 1893 r.

Ozas ten atoli, pomimo niepokoju i goryczy, był chwilą, kiedy Bliziński stworzył najlepsze swoje komedye. W roku 1877 na konkursie dramatycznym krakowskim premiiowano jego arcydzieło: „Pana Damazego“, który wszędzie cieszył się nadzwyczajnem powodzeniem. Postać naczelną, niezmiernie sympatyczną, przedstawiającą pocziwego, zadowolonego hreczkosieja, łatwo dającego się podejść obłudzie, nie gardzącego groszem, lecz nie chcącego zdobywać go przy cieniu choćby cudzej krzywdy, miękkiego w duszy, a szorstkiego w objawach uczuć i postanowień, prawego do szpiku kości, jest tak ładną kreacją, że z najlepszymi w naszym i nie naszym komedyopisarstwie może się ubiegać o pierwszeństwo. Nie jest to *typ* według dawnych poglądów estetycznych, ale żywa i we wszystkich obfitych szczegółach znamienna osobistość, chwytająca za serce, uczciwa, i w swoim szczupłym zakresie działania rozumna. Z innych osób bardzo wybitnie scharakteryzowane zostały najprzód dwie siostry: despotyczna i samolubna pani Żegocina, oraz zahukana, bojąca się czemkolwiek ją zmartwić i obrazić, nie myśląca zgola o sobie, pocziwa Tykalsia. Rezolutna Helena, córka Damazego, i Mańka, sierota wydana na łup obłudnego Seweryna równie dobrze są utrzymane, jak i sam Seweryn, a w części także Antoni,

wzdychający do Helenki. Rejent Bajdalski, trzymający zawsze stronę silniejszego, ma kilka scen znakomitych, podobnie, jak i jego synek, emancypowany lecz uczciwy Gienio. „Pan Damazy“ jest doskonale skomponowany i zharmonizowany. Żadna późniejsza komedia Blizińskiego nie tylko nie przewyższa pod tym względem „Pana Damazego“, lecz go nawet nie dorasta. To kulminacyjny punkt twórczości Blizińskiego i w dalszych jego sztukach są tylko piękne części: charaktery lub sytuacje.

W tych dalszych utworach mamy cztery jednoaktówki: „Mąż od biedy“ (1878), „Ciotka na wydaniu“ (1883), „Mąż w drodze“ (1887), „Dzika Różyczka“ (1889), oraz trzy komedye większe: „Rozbitki“ (1881), „Szach i mat“ (1886), „Chwast“ (1893). Zarówno w jednych jak w drugich są niepospolite piękności, ale jednoaktówki, jako całości mniejsze, lepiej są zharmonizowane, niż sztuki większe, w których głównie charakterystyki są wyborne,

Niektórzy krytycy poczytywali „Rozbitków“ za najlepszą komedję Blizińskiego, ale niesłusznie. Sprawa, w niej poruszona: ruina wielkich majątków szlacheckich, ma niewątpliwie nader ważne znaczenie społeczne, a chwytanie się środka ratunku w małżeństwie córki ze świeżo wzbogaconym letkiewiczem ma w sobie siłę dramatyczną ogromną; ale Bliziński, zgodnie ze swem zasadniczem usposobieniem, a zarazem zgodnie ze swem pojmowaniem komedyi, nie doprowadził naprężonych stosunków do ostateczności i pozwoilił głównym osobom przynajmniej do czasu pozostać

w sferze swojej. Kilka nowych postaci, występujących w tej komedyi, mianowicie Gabryela, która ze względu na położenie materyalne tłumi w sobie uczucie i zamierza obojętnie wyjść za mąż za rażącego ją we wszystkim Strasza, lecz w tem postanowieniu nie może chyba wytrwać do końca, bo za dużo w niej prawości;—dalej wzbogacony mieszczanin, Dzieńdziejowski, przechwalający się swemi trofeami myśliwskimi, śmieszący swoją francuszczyzną i płytkością umysłową; wreszcie Kotwicz Dahlberg Ozarnoskański, który dla wygod żołądka i komfortu stał się z wielkiego pana cynicznym stręczycielem—to najgłówniejsze ozdoby artystyczne „Rozbitków“, nie stanowiących spójnej, jednolitej całości. Są tu poruszone głębsze warstwy ducha ludzkiego niż w „Panu Damazym“, ale nie są obrobione tak świetnie jak w tym utworze.

„Szach i mat“ ma cechę raczej galeryi charakterów, wziętych z pośród szlachty wiejskiej, aniżeli akcyi należycie rozwiniętej. Sprawa spadkowa sprawadza dużo osób na jedno miejsce. Wśród nich nową do pewnego stopnia figurą jest Grdyńska, która, uroiwszy sobie, że zmarły jej krewny podkochał się w niej niegdyś, rości jakieś pretensye do spadku po nim i dla dowiedzenia tych pretensyi przedstawia paczkę listów, najobojętniejszych w świecie, w których wyrażenia jak: „kochana kuzynko“ usiłuje interpretować w sensie gorącego dla niej afektu. Doskonale też są tutaj wyrostki szlacheckie, lobuzy wierutne; doskonała, niby - trusia, panienska 15-letnia, której bardzo zasmakowały rozmowy i całusy Macia.

Wszystkie te postaci, nie wyłączając starego lisa, notaryusza Szeligi, autor otoczył pełną pobłażliwością sympatją, wystawił ich śmiesznostki lub słabości, lecz pragnął wlać w widza przekonanie, że to do brzy ludziska. Natomiast karyerowicza, Alfreda Krzyckiego, zrujnowane hrabiątko, który posagiem panny chciał podreparować swoje zachwiane w świecie stanowisko, a nie wiedząc, z powodu zawikłania sprawy, kto w rezultacie spadek otrzyma, lawiruje wśród szkopulów wyraźnego oświadczenia się, Bliziński postawił pod pręgierzem i skazał go w końcu na zostanie—zamiast zięciem—rezydentem tylko, cierpiącym z łaski.

Podobnie bezwzględny był komedyopisarz w „Chwaście“ dla wyrafinowanej lotrzycy Amelii, samolubnej, goniącej za pieniędzmi i rozkoszą, opuszczającej męża, gdy spodziewanych wygod nie znalazła. Jestto wogóle komedia, wyróżniająca się z pomiędzy innych Blizińskiego, zbliżona tematem i dramatycznością do nowożytniej komedii francuskiej. Ale i tu pogodny humor naszego autora dał znać o sobie w doskonałej postaci Drobisza, poczciwego, prawego człowieka, kochającego małżonka, lecz niezmiernie wrażliwego na urok twarzyczek niewieścich. Osobistość Drobisza najplastyczniej jest nakreślona i najdłużej w pamięci zostaje.

Wogóle mówiąc, Bliziński wyjątkowo tylko występował w roli surowego sędziego, który z goryczą patrzy na zdrożności ludzkie i ma na ustach wciąż słowa cierpkiej nagan; owszem, z uśmiechem łago-

dnej ironii przypatrywał się temu mrówczemu światkowi, w którym są wprawdzie liczne słabości, spotykają się nawet zgubne wady, dużo łatwowierności, niewiele wykształcenia, lecz serc przewrotnych i z gruntu zepsutych—mało. Werwa komiczna przejawia się u niego, jak u plastyków zazwyczaj bywa, nietyle w słowach, ile w sytuacjach.

Podobne cechy mają także obrazki, powiastki i nowelle Blizińskiego. Polegają one w większej części na stronie anegdotycznej, na jakimś jednym rysie, o którego uwydatnienie chodzi autorowi; są lekkie, zabawne i dobrze przedstawione.

Dotychczas mamy cztery ich zbiorki.

Pierwszy i najobszerniejszy wyszedł w Warszawie r. 1876 p. t. „Dziwolągi;“ drugi we Lwowie r. 1885 p. n. „Nowe humoreski,“ trzeci we Wiedniu 1890 p. n. „Nowelle—Humoreski,“ a czwarty w „Bibliotece Mrówki“ we Lwowie, bez daty, mieści w sobie dwa opowiadania: „Wyprawę pana Prota“ i „Rekreacye Zefirka“.

Warto w końcu wymienić pracę Blizińskiego, w sprawie czystości języka, o którą wielce się troszczył, wydaną p. t. „Barbaryzmy i dziwolągi językowe“ (Kraków, 1888). Język ojczysty nietylko kochał, lecz znał go gruntownie.

P. Chmielewski.

## *My tak zawsze.*

Do wagonu drugiej klasy pociągu, odchodzącego do Zagórza, wsiadło w Przemyślu czterech ichmościów, zupełnie sobie nieznajomych. Dowiedzieli się wprawdzie przypadkiem, gdy konduktor kontrolował bilety, że jadą wszyscy do jednej i tej samej stacyi, to jest do Chyrowa; wdali się nawet w gawędę, ale ta ograniczała się na ogólnikach, a głównie, jak to u nas bywa, na polityce—tak więc, żaden z nich nie dowiedział się niczego bliższego o współtowarzyszach.

Gdy przybyli do Chyrowa, spotkał ich przy wysiadaniu faktor, miejscowy żydek, z zapytaniem:

— Może panowie potrzebują furmanki?

A że wszyscy właśnie znajdowali się w tem położeniu, więc zaczęli rozrywać żydka, który, musimy mu oddać sprawiedliwość, tak manewrował, że wszystkim jakoś, ile możliwości, postarał się zadość uczynić.

Ten, którego najpierw załatwił, wsiadł na chłopski wózek, zaprzężony w parę szkapiat i wyruszył gościńcem ku Staremu Miastu.

Wkrótce wszakże przekonał się, że źle trafił; szkapy, o ile z początku rączy, o tyle w miarę ubieżonej odległości zaczęły wolnieć i nareszcie, pomimo nieustannego zachęcania batem, z truchta przeszły w stępa. Wyminął ich niebawem tak zwany „Eilwagen“ czyli karetka pocztowa, pełna podróżnych, wymijały i inne wozy lub bryczki, aż w końcu do tego doszło, że niefortunny pasażer uznał za najstosowniejsze przystać na propozycję chłopca, który oświadczył, że musi zatrzymać się dla wytechnięcia koniom przed stojącą przy trakcie karczmą.

Zapalił tedy cygaro i, uzbroiwszy się w stoicką cierpliwość, zasiadł na ławeczce przed karczmą. Nie wyszło dziesięć minut, gdy od strony Chyrowa nadjechał znowu ogromny furgon z budą płócienną, vulgo omnibus żydowski, i stanął także przed karczmą, zaś z jego wnętrza dał się słyszeć głos:

— A pan dobrodziej dokąd jedzie?

I wnet po tych słowach wytoczyła się z pod płóciennej budy postać, w której pierwszy pasażer, poznał jednego z towarzyszków podróży w wagonie.

— Gdzież to pan jedzie?

— Do Turki, a pan?

— I ja do Turki.

— Nie może być.

— Szkoda, żeśmy się nie zmówili i nie wzięli na wspólny koszt jakiejś porządnej furmanki.

— Zapewne.

— Wystaw sobie pan dobrodziej, szelma faktor namówił mnie na tę żydowską budę, zaręczając, że mi będzie wygodnie. Tymczasem napakowało się tak, że siedzimy jak śledzie w beczie... a przytem, obawa plagi egipskiej... słowem, jeżeliby to panu nie zrobiło różnicy, gotówbym przypisać się do pańskiej furmanki.

— Kiedy szkapy ledwo się wloką.

— I tamte nie rączy: jużbym wołał kupić owsa, byle jechać swobodnie.

Gdy tak traktują, od tej samej strony, z kądem przybyli, nadjeżdża i staje także przed karczmą trzecia furmanka, to jest elegancki powóz, z którego wyskakuje trzeci towarzysz z wagonu.

— A panowie co tu robią?

— Jedziemy do Turki.

— I ja także, ale huncfot faktor, jak mnie urządził! Namówił czyjegós stangreta z za Turki, wracającego próżno do domu, że mnie zabrał, za pieniądze naturalnie. Tymczasem ten teraz powiada, że nie może mnie dalej wieźć, bo się boi, żeby się jego pan nie dowiedział, gdyż spotkał kogoś znajomego z tamtych stron, co mógłby go wydać.

— I jakże będzie?

— Możebyśmy mogli jakoś razem we trzech...

— Ale czyż konie dadzą radę?

— Bardzo wątpię.

— Nawet trudno będzie pomieścić się na tej furce.

— Bójcie się panowie Boga! zkąd ja tu wezmę furmanki.

— Ale jakże zrobić?

— Gotów jestem dodać chłopu papierka, to może przystanie.

Wzięto chłopą do narady. Temu widocznie uśmiechała się myśl zarobku, ale niepewny czy zadość uczyni zobowiązaniu, skrobał się tylko po głowie i na wszystkie argumenta odpowiadał:

— Abo ja wiem!

Zafrasowani pasażerowie nie wiedzieli już co począć, gdy nagle ujrżeli nadjeżdżający sporym kłusem porządny i obszerny wózek, zaprzężony w parę dobrych koni, a na nim czwartego pasażera z wagonu.

Już miał przejechać, nie zatrzymując się, gdy nasza spółka, nagle myślą jednocześnie tknięta, rzuciła się naprzeciw wózka i zatrzymała go niemal przymocą, a z trójga ust razem wybiegło pytanie:

— Dokąd pan jedzie?

— Do Turki—odrzekł kwaśno pasażer.

— I my do Turki, aleśmy tu osiedli na piasku.

— A mnie złodziej faktor wyciągnął na koszt; powiedział, że wystara się o furmankę, tymczasem przepadłszy gdzieś, w pół godziny się zjawil i oświadczył, że niema żadnej, ale, że w mieście jeden obywatel wynajmuje na żądanie konie podróżnym, to do niego trzeba się udać. Naturalnie, że tak zrobiłem, ale musiałem zapłacić, co chciał.

— A to drab! wiedział, że wszyscy jedziemy

w jedno miejsce i tak nas wykierował!—rzekł pasażer z omnibusu — moglibyśmy byli jechać na wspólny koszt.

— Zdaje mi się, że możnaby to jeszcze zrobić— zaproponował ten, co przyjechał powozem, stawiając dla wszelkiego bezpieczeństwa nogę na stopniu bryczki, bo obejrzawszy się właśnie spostrzegł, że jego stangret wyrzuca z powozu tłómczek i zabiera się do odjazdu.

— Dołożymy się — rzekł pierwszy — każdy w czwartej części i w dodatku damy furmanowi na wódkę.

— A kiedy tak, to i owszem! pomieścimy się bardzo łatwo; tylko wielka szkoda, że nie zrobiliśmy tego odrazu. O szelma żyd! dostał od każdego z nas osobno faktorne.

— Dobrze nam tak! mogliśmy byli porozumieć się zaraz w wagonie.

— Co prawda, to prawda... tylko że...

— Jakże że?

— Ano takie, że u nas bez faktora żydka ani

rusz.



## Nie odrazu Kraków zbudowano.

---

...Z wielką przyjemnością wybierałem się na zabawę do państwa Kocioburskich, w których domu miałem nadzieję spotkać całe sąsiedztwo i mieć sposobność zaimponowania mu moją osobą. Ponieważ przybyłem na wieś do mojego kuzyna jako literat już opromieniony aureolą sławy, z nazwiskiem, które było w ustach każdego inteligentnego mieszkańca Warszawy, tem pewniejszym przeto byłem tryumfów wśród zaściankowego towarzystwa Baraniej Woli.

Dla ścisłości historycznej muszę objaśnić, że działo się to w tej epoce, gdy wypuściłem na świat pierwszy mój utwór, fantazyę romantyczno-dramatyczną p. t. „Taniec szkieletów na grobie wisielca“, drukowaną w pewnem nie płacącym honoraryów autor-skich „Piśmie dla rodzin.“ Nawiasem mówiąc, pismo owo pomimo swego sentymentalnego tytułu, a może

właśnie z powodu niego, cieszyło się bardzo szczupłą liczbą prenumeratorów wśród „rodzin“, ta okoliczność jednak nie ujmowała mnie z mojego szacunku i wma- wiałem w siebie, że ukazanie się w tak poważnym orga- nie mojego „Tańca szkieletów“ musiało odbić się echem nie tylko w Warszawie, ale w całym kraju.

To pewna, że w Warszawie pokazywano mnie sobie palcami—o tem byłem najmocniej przekonany —zwłaszcza gdy jedno z pism wydrukowało, że „uta- lentowany autor dobrze znanego czytającej publi- czności „Tańca szkieletów“ pisze, jak się dowiaduje- my, dla naszego teatru oryginalną komedję pięcioak- tową p. t.: „Serce i nerwy“. Oryginalną! wyrażenie niemądre, które zyskało prawo obywatelstwa w na- szem piśmiennictwie, bez względu, że ubliżamy niem sami sobie. Czyż utwór prawdziwie oryginalny jest już u nas taką osobliwością, żeby aż trzeba robić o tem wyraźną wzmiankę?—Śmieszność! No, ale to nie należy do rzeczy; dosyć, że byłem zadowolony z reklamy, zwłaszcza, że te wyrazy: „pisze dla nasze- go teatru“ dźwięczały mi w uszach bardzo efekto- wnie, chociaż, Bogiem a prawdą, ani mi się śniło ma- rzyć o takim zaszczycie, żeby słowo moje zabrzmiało na deskach naszej pierwszej sceny. Byłbym z wiel- ką radością poprzestał na Rypinie albo Ryczywole. Pisano o mnie, a co zatem idzie, byłem przedmiotem rozmów, człowiekiem znanym, znakomitością. W pu- blicznych miejscach zdawało mi się, że wszyscy byli mną zajęci; w teatrze podczas antraktów stawałem w krzesłach zwrócony twarzą do sali, w niezmiernie

malowniczej pozycji. Każdą lornetka zwrócona w moją stronę miała za cel moją osobę, słyszałem szepty nieskończenie dla mnie pochlebne: Kto to jest ten przystojny młodzieniec w drugim rzędzie?— Autor „Tańca szkieletów“.—Nie może być! to ten? — Pisze komedję pięcioaktową.—A! taki młody... — Te głosy —słyszane naturalnie tylko w mojej wyobraźni—pod- nosiły mnie wysoko we własnem przekonaniu. Lor- netki coraz dłużej zatrzymywały się na mojej fizyq- nomii, kobiety w łóżach nachylały się do siebie i po- kazywały mnie palcami; jeżeli spostrzegłem którą za- chowującą się obojętnie, pomimo mojej wystudyowa- nej pozy, sam lornetowałem ją uporczywie, ażeby zwrócić na siebie uwagę.

Przy wyjściu stawałem w przedsionku jak na wystawie, przybierając jednak umyślnie wyraz twa- rzy obojętnej a nawet znudzonej.

W domach, stanowiących kółko moich znajomo- ści, gdzie czytano a przynajmniej widziano „Tańce szkieletów na grobie wisielca“ — bo rozdawałem egzemplarze, jedyne honorarium, jakie otrzymałem od „Pisma dla rodzin“—obawiano mnie się jak ognia, wmawiając, że zbieram z ludzi wzorki. Nie wypiera-łem się tego bynajmniej, rozkoszując się moją wyższ-ością. Miano mnie za literata całą gębą, a ta opinia musiała przecież przedrzeć się na prowincję, kto wie nawet, czy nie w spotęgowanej formie! Zdaleka wy- dajemy się większymi niż zbliżka. Jestto nasze złu- dzenie optyczne.

Takie myśli chodziły mi po głowie podczas robienia tualety na występ w domu państwa Kocioburskich. Studyowałem w lusterku wyraz fizynomii i pozy, jak aktor przed debiutem, w czym przecie nie było nic tak dalece zdrożnego, gdy tak samo robią niektórzy doktorowie filozofii, występujący z odczytami.

Ruszyliśmy nareszcie. Kuzyna mojego, Jasia Jęczmionkiewicza, chociaż na jego wózku jechałem, uważałem jako dodatek do mojej osoby... bo i gdzież jemu do mnie? Prawda, że bogaty i wcale niezły chłopiec, ale... ograniczony, z przeproszeniem, jak but. Głupiego listu nie był w stanie dobrze skomponować, jak sam otwarcie się przyznawał — a co do mojego „Tańca szkieletów“, to już prosto w głowie nie mogło mu się pomieścić, jak ja to potrafiłem napisać.

Jechałem więc pełen poczucia własnej wielkości, nie zazdroszcząc nikomu sławy, której miałem aż nadto na swoją osobę. Większej nie potrzebowałem. Zbytek rodzi przesylenie; przesylenie — obojętność. Pierwszorządne znakomitości, o których pełno codzień na wszystkich szpaltach dzienników, przestają zajmować uwagę, tak samo jak widziane codziennie choćby największe cuda. Czyjaż myśl zaprzątnie obraz wspaniałego słońca albo pełnych tajemniczego blasku gwiazd i księżyca, gdy z ich widokiem jesteśmy tak oswojeni? za to ileż nieraz podziwu wzbudza widziany tylko w przelocie meteor! Otóż ja byłem meteorem, który miał zabłysnąć na horyzoncie Baraniej Woli i wprawić w zachwyt jej mieszkańców i gości.

Przybywszy na miejsce, zastaliśmy zapelnione wszystkie pokoje. Powiedziałem sobie, że będę starał się być przystępnym, strzegąc się wszelkiej pozy, mogącej onieśmielić tych, których zaszczycę moją rozmową. W pewnych razach trzeba mieć delikatność. Przybrałem więc na tę intencję wyraz twarzy dobroduszny i pełen wyrozumiałości. Na nasze spotkanie wyszedł gospodarz domu, który, nie uważając na mnie, pochwylił w uściski Jasia, wymawiając mu, że przybył tak późno. Zamiast odpowiedzi, Jaś, wskazując na mnie, rzekł:

— Mój kuzyn, Apolinary Bardoński.

Imię moje wymówił dobitnie.

Oddając ukłon z niechęcią, spojrzałem na pana Kocioburskiego.

O dziwo! jego twarz nie wyrażała nic, ale to nic zupełnie. Wypowiedziawszy idyotyczną formułę: — A! bardzo mi przyjemnie — wziął pod rękę Jasia i wprowadził do salonu, mnie zaprosiwszy tylko skinieniem ręki.

Poszedłem za nimi, upokorzony niezmiernie. Jakto! on nie wie o tem, że to ja jestem autorem „Tańca szkieletów“? Oczywiście, chyba nie wie! dowodem tego jego niepojęta obojętność na brzmienie mojego nazwiska. Ale cóż dziwne — pomyślałem sobie — taki szlagon zadowolony... może nawet wcale pismie czytuję... ale przecie nie wszyscy będą tacy w tem towarzystwie.

W salonie, gdzie pełno było pici pięknej, na którą najwięcej rachowałem, Jaś przedstawił mnie ogólnie.

nie jako swego kuzyna, ale trafił jakoś nieszczęściem na taki gwar, że nie wszyscy mogli usłyszeć, kogó prezentuje. Złożyłem ukłon, odkloniono mi się i na tem koniec. Nikt się mną nie zajął w sposób odznaczający. Zaczynało to mnie już gniewać... cóż u licha, czy tu nikt nie czytuje i nie wie o literaturze?

Wkrótce nastąpiły tańce, do których wciągnięto mnie przemocą, ale ponieważ nie byłem bohaterem w sztuce, którą uważałem za niegodną człowieka namaszczonego na kapłana słowa, przeto wkrótce wypuszczono mnie z opieki, dając delikatnie do zrozumienia, że jestem do niczego.

To tak zepsuło mi humor, że chciałem odjeżdżać nie czekając końca, ale nie było sposobu skłonić do tego mojego kuzyna, który się bawił wybornie.

Wśród tych udręczeń doczekałem się kolacyi, którą podano coś około północy. Jaś wśrubował się zaraz pomiędzy dwie najładniejsze panny, mnie posadzono na szarym końcu, jak ofiarę pomiędzy dwoma podlotkami, z wyraźnem zastrzeżeniem p. Kocioburskiego, abym się starał nie znużyć ich mojem towarzystwem.

Byłem wściekły.

Zaraz po pierwszym daniu rozpoczęły się toasty, których było co niemiara: najprzód młodzi w poci obojej, potem księdza kanonika i duchowieństwa, dalej stanu obywatelskiego, dam, wreszcie młodzieży — ale przed tym ostatnim jeszcze gospodarz domu, jako mający córkę na wydaniu, wniósł oddzielnie zdrowie mojego kuzyna, szanownego i kochanego sąsiada, pana Ja-

na Jęczmionkiewicza". — Przestałem się już naturalnie ludzi, aby wspomniano o mnie albo o moim „Tańcu szkieletów” — aliści przy samym już końcu p. Kocioburski, podniósłszy kieliszek, rzekł:

— Pozostaje nam jeszcze jeden toast, którego pominąć się nie godzi.

Nie zwracałem uwagi na to przemówienie, ale zdziwiło mnie, że patrzył uporczywie w moją stronę.

— Mamy tu — mówił dalej, gości z Warszawy, kuzyna naszego kochanego sąsiada. Zatem wnoszę zdrowie pana... pana... przepraszam, jakże godność? bo przyznam się, że zapomniałem.

Zaczerwienilem się a potem zbladłem, ale nie odpowiedziałem ani słowa, tak jak gdyby się to nie mnie tyczyło.

Zaczęto spoglądać to na mnie, to po sobie, przy czem usłyszałem szepoty: — Jak się nazywa? jak się nazywa? — O zgrozo! nikt nie wiedział. Jaś tego wszystkiego nie słyszał, zagadawszy się z sąsiadkami, dopiero na czyjąś formalną interpelację rzekł z niechęcią: „Bardoński” i znowu zatopił się w rozmowie.

— Zatem zdrowie pana Bajdurskiego — zaintonował p. Kocioburski, przekręcając moje nazwisko i wychylił kieliszek. Niektórzy poszli za jego przykładem, nie robiąc sobie wszakże subiekty, żeby powstać jak każe zwyczaj, ale większość nie umaczała nawet ust... tylko moje sąsiadki, dwa podlotki, trąciły się ze mną swojemi kieliszkami, napelnionemi wodą. Całe moje szczęście, że właśnie ruszono się od stołu, bo nie wiem jakbym był dłużej wysiedział.

Wiele, wiele wody upłynęło, nim zrozumiałem, jak wielką przysługę oddał mi pan Kocioburski. Pierwsze fiasko, jakie mnie spotkało w domu tego zacnego filistra, miało skutki nader zbawienne, nauczyło mnie bowiem moresu, wybijając z głowy raz na zawsze wszelkie pretensye do pozowania na niedowarzaną znakomitość.

Jakżeby się niejednemu przydała podobna nauczka!



## SĄSIEDZI.

Nie było na świecie większego impetyka, niż mój sąsiad, pan sędzia Damazy Bieganowski, dziedzic J...wic w Kujawach. Był to żywy typ szlachcica starej daty, ze wszystkimi przymiotami i narowami: szczery, otwarty, skory do ofiar i poświęceń, lecz nieopatrny, rozrzutny, więcej gadający niż robiący, wreszcie pełen przesądów rodowych i lekko traktujący, bez względu na wartość osobistą, każdego, w czym rodzie krew nie oczyściła się zapomocą filtru herbowego z pierwotnych mętów, przypominających wspólne wszystkim pochodzenie. Zresztą człowiek poczciwy i lubiony w okolicy, a przez własnych ludzi kochany pomimo popędliwego charakteru, bo porywy onego nagradzała wrodzona dobroć serca.

Dworscy i cała wieś porównywali go do indora, gdyż na podobieństwo tego ptaka gniew, wybijający

się purpurą na jego twarzy za lada sposobnością, zdawał się być potrzebą, warunkiem jego istnienia! Zwykle, gdy wpadł w pasyę na wieść o przewinieniu którego z oficyalistów, kazał do siebie wołać winowajcę. a tymczasem chodził po pokoju ogromnymi krokami, sapiąc i klnąc, na czem świat stoi. Ale płomień ten im gwałtowniej wybuchał, tem prędzej gasł i kończyło się najczęściej na tem, że gdy przywołany, nie kwapiąc się zbyt, z doświadczenia mierzając swoje kroki, wchodził do kancelaryi pańskiej, pan Damazy uderzał tylko z całej siły nogą w podłogę i gwałtownym a groźnym gestem wskazując na drzwi, odzywał się obrachowanym już tylko na efekt głosem:

— Ruszaj mi won z oczu, bo pasy drzeć każę!

Ta okropna apostrofa znaczyła, że pan się już udobruchał, ale wypadało mu zejść z oczu. Przywitany więc w ten sposób wyносił się czempredziej, nie pokazując się, aż już po zupełnem przeminięciu burzy.

Raz wyszedłszy w pole, spotkał w szkodzie jakiegoś chłopaka wiejskiego, a że miał ludzi pod ręką zawołał więc, podnosząc laskę: „dajcie no mi go sami!“ Poskoczyło kilku — i kto wie, jakby było, bo sędzia pierwszego impetu nie był nigdy panem, a w ręku miał laskę potężną — ale chłopak niegłupi był czekać; wzięwszy nogi za pas, umykał, jakgdyby mu kto skrzydła przyprawił. Pan Damazy z początku nawoływał, jak za kotem: „a haż go, haż, łapaj, trzymaj!“ ale po chwili, rad w duszy, że chłopak taki rączy, krzyknął tylko:

— No, no, wróćcie się... bierz go dyabli! Ucieka... to dobrze... widać, że się boi.

Parę razy zdarzyło się, że w przystępie gniewu wypędził kogo ze służby; wypędzony przecież ani myślał o porzuceniu miejsca. Pełnił swoje obowiązki, jakgdyby nic, pobierając ordynaryę ze spichrza, tylko pańskiego oblicza unikał, dopóki nie upatrzył stosownej chwili. Gdy wreszcie, trafiwszy na różowy humor, ośmielił się panu pokazać, ten go zapytywał: „A co ty tu robisz?“ — „Służę.“ — „Przecież cię wypędziłem.“ — „Jasnie pan żartował“ — odpowiadał oficyalista, kłaniając się do kolan. I na tem się kończyło.

Sąsiadował sędzia od jednej strony ze wsią, której gospodarze ciągle mu wyrządzali szkody w łąkach. Ustawiczną prowadził z nimi o to wojnę, robił zasadzkę i hojnie płacił polowemu za każdą zajętą w szkodzie sztukę bydła, którą atoli, nawymyślawszy i nadgrążawszy się najokropniej, najczęściej bez okupu wypuszczał.

Raz, gdy sam powożąc, jak zwykle, jednokonnym wózkiem wyjechał na pole, spostrzegł na łące, wyjeżdżając z lasu, całą gromadę bydła, pasącą się bez stróża. Rozwścieczony, bo łąka ta mogła być najobficiej wydawać siano, gdyby nie częste wypasanie, popędził w tę stronę i zaczął od tego, że dwa psy, które, czekając, wypadły do niego z zarośli, z dubeltówki dwoma strzałami położył trupem; byłby to samo zrobił z pastuchem, który w tej chwili właśnie pokazał się na skraju lasu, gdyby miał być trzeci strzał; ale skonczyło się na tem, że, nawymyślawszy mu tylko zdaleka, wziął się sam do wyganiania bydła po za rów graniczny, czego, manewrując po łące, zaledwie dokonał.

Jak tylko bydło znalazło się po drugiej stronie rowu, wypadła gromada ludzi z owej wsi, którzy z hałasem, krzykami i odgrózkami popędzili bydło przed sobą.

Ale jakież było zdziwienie sędziego, gdy, wysapawszy się z gniewu i obejrzawszy za siebie, ujrzał własnego pastucha, który, skrobiąc się w głowę i kłaniając z pokorą, wytłómaczył mu, że własne swoje bydło, które przypadkiem wtargnęło na łąkę, wypędził za granicę i jemu oba psy zastrzelił. Sędzia osłupiał, ale, ochłonawszy, naśmiał się sam z siebie i chętnie zapłacił gospodarzom fantowe za szkodę, jaką jego bydło zrządziło przez zdeptanie łąki.

Pan Damazy miał złote serce, które szlachetnymi porywami nieraz się odzywało. Gdy obrany został sędzią pokoju w Radziejowie, na pierwszej zaraz radzie familijnej, której przewodniczył, trafiło się, iż przy zdawaniu rachunków z opieki nad małoletnimi, należało się od opiekuna 150 rubli, których ten wszakże uporczywie zaprzeczał. Pan Damazy, widząc oczywistą krzywdę sierot, po niezbyt zamożnym szlachetce pozostałych, i zniecierpliwiony uporem opiekuna, zawołał, uderzając pięścią w stół: „Za pozwoleniem, ja płacę z mojej kieszeni te 150 rubli, a niech raz już koniec będzie tej krętaninie!”—i byłby to zrobił, ale opiekun, człowiek, któremu chodziło o jakąkolwiek opinię w obywatelstwie, bo podejrzanemi środkami przyszedł do majątku, nie dopuścił tego — zmuszonym się atoli widział zapłacić należną kwotę.

Pan sędzia jednak nie stał tak pod względem majątkowym, aby mógł za kogoś szastać tysiącami,

choć miał ładne dobra, odziedziczone po ojcu, zadłużył je nierządem, tak, że grosz grosza gonił. Tradycyjnym obyczajem, trzymając we wsi pachciarza, przez niego załatwiał wszelkie interesa, dlatego też nie było w okolicznych miasteczkach ani jednego żyda, któryby nie siedział u pana sędziego w kieszeni. Długi pana Damazego, które przy jakim takim zarządzie spłacićby się mogły z dochodów, rosły co rok w postępie geometrycznym. Nie pozbawiało go to jednak dobrego humoru. Z wrodzoną nieopatrznością i dumą kastową cieszył się niemal z tego, że go kradli. Nieraz, gdy mu robił uwagi w tym względzie, wskazując przytem nadużycia, jakich się dopuszczał jego ekonom, sławnie go kradnący, odpowiadał:

— Mój sąsiedzie, ja kraść nie będę, ani ty, a kraść ktoś przecie musi. Więc od tego są złodzieje i oszusty z profesyi. Na to niema rady.

— Ale, zmiłuj się pan; sposobność ludzi psuje, od czegoż dozór?

— To już ultimum remedium, panie. Kogo nie wstrzyma samo poczucie obowiązków, od takiego się nie ustrzeżę i żaden dozór nie pomoże.

Przy takim poglądzie na rzeczy, nie dziwnego, że każdy mógł korzystać z pana sędziego, a najlepiej odmalował jego położenie kredencierz, dawny i przywiązany sługa domu od lat czterdziestu.

— Naszego pana—mawiał—każdy ciągnie, kto chce. Boże zmiłuj się, nie przynierzając, jak pies bydlę za ogon.

Pomimo trywialności tego porównania, nie można zaprzeczyć, że było trafnem.

Ten sam jednak pan Damazy, pozwalający się okradać i oszukiwać, płacący z dobrego serca cudze należytości, nie dbając o tysiące, prowadził procesy — jadły o dziesięć morgów gruntu z sąsiadem swoim, panem Maryanem Gąbczewskim, dziedzicem O...tek. A nie chodziło mu bynajmniej o te dziesięć morgów, do których prawo miał nawet wątpliwe i nie wiedział o tem; chodziło mu przedewszystkiem i jedynie o zwycięstwo nad Gąbczewskim i o upokorzenie sąsiada, którego nie lubił i lekcewał w swoim przekonaniu, jako nieszlachecka, intruza, wdzierającego się na stanowisko, do którego nie miał prawa.

Gąbczewski pochodził z niskiego rodu. Ojciec jego, chłop, nazwiskiem Gąbka, najprzód bartnik w lasach Duninowskich, potem żołnierz, wreszcie karbowy w dobrach jednego z majątnych panów na Kujawach, przy którego boku służył w wojsku, człowiek wielkiej poczciwości i zdrowego rozsądku, mając jedynego syna, oddał go na opiekę pana, który, ocalony przezeń z narażeniem życia w jakiejś potyczce, poczuwał się do obowiązku wdzięczności i sam mu tę myśl poddał. Młody Maciuś korzystał z tego skwapliwie, słuchając najprzód wykładów nauczyciela domowego, następnie zaś oddany został razem z paniczem do szkół publicznych. Potem dosłużył się stopnia kapitana. Maciej był wachmistrzem w tym samym pułku; gdy wreszcie po skończeniu służby wrócili do domu, pan zro-

bił Macieja najprzód pisarzem w swoich dobrach, następnie powierzył mu zarząd całego swego majątku.

Gąbczewski, któremu to zaufanie pochlebiało, z wachmistrzowskim rygiorem wziął się do dzieła; zaprowadził ład wzorowy we wszystkim, a obdarzony zdrowym widzeniem rzeczy i zdolnościami rozwiniętymi przez wychowanie, podniósł nawet gospodarstwo pod względem czysto agronomicznym.

Były żołnierz długo nie myślał o ożenieniu; zajętemu dziś szczerze powierzonym sobie majątkiem ani się śniło o czemś podobnem. Ale wreszcie przyszła kreska i na niego. W domu jego pryncypała, który zaraz po wyjściu z wojska ożenił się i miał już kilkoro dzieci, przebywała młoda szlachcianeczka, sierota, daleka jakaś powinowata samego pana. Różia, małym wzięta dzieckiem do dworu, chowała się i rosła w oczach Gąbczewskiego, który starszy był od niej o lat kilkanaście; bawił się z nią, gdy była małą i opiekował się sierotą z troskliwością ojcowską, jak gdyby przeczuwał instynktem, że sobie w niej żonę wychowuje. Gdy wreszcie wyrosła na ładną co się nazywa panienkę, ojcowskie jego przywiązanie przetrworzyło się w jakieś inne uczucie, z którego zdać sobie sprawy nie umiał, — a wytłómaczywszy sobie nakoniec, co to było, zakłopotał się nadzwyczajnie. Jakkolwiek pryncypał jego a dawny zwierzchnik obchodził się z nim jak z przyjacielem a nie sługą, Gąbczewski jednak szanował przedział, jaki był pomiędzy nimi, a gdy całe życie pracował na to, aby takim sercem odpłacić się panu, z jakim on był

dla niego, zdawało mu się niewdzięcznością myśleć o poślubieniu Rózi, która, chociaż w dalekim stopniu, zawsze była pańską powinowatą.

Pan jednak myślał inaczej; przez lat kilkanaście nauczył się cenić Gąbczewskiego i widząc skłonność, której pocziwy wachmistrz pomimo starania utaić nie mógł, sam pomyślał o ziszczeniu jego nadziei. Różia wprawdzie kręciła swoim zadartym noskiem, gdy jej wujaszek (bo tak nazywała opiekuna) wspominał o swoich zamiarach; nie żeby miała wstręt do pana Macieja. — owszem, podobał jej się trzydziestoletni wojak i przywiązała się szczerze do niego.

Trapiła ją tylko myśl, że ona, szlachcianka, miała zostać żoną jakiegoś Gąbki, chłopskiego syna; i choć nie mogła rachować na posag, bo ciotecznostryjeczny wujaszek miał własne dzieci i skromną tylko mógł dać wyprawkę, liczyła na jakąś lepszą pod względem stanowiska społecznego partyę. Pomimo to wszystko, skończyłoby się na skojarzeniu małżeństwa, bez względu na jej opór, bo wujaszek nie lubił żartować, gdy sobie co postanowił, lecz niespodziana okoliczność zrzuciła, że sama przychyliła się do jego widoków.

Różia zachorowała. Nie było niebezpieczeństwa, lecz doktor, jakiś nowoprzybyły do pobliskiego miasteczka, nie poznawszy się na symptomatach, dręczył ją lekarskimi środkami zupełnie niepotrzebnie i przedłużał samochcąc chorobę. Pan Maciej, ile mu tylko czasu od obowiązków zbywało, poświęcał pielęgnowaniu Rózi — sam jej podawał lekarstwa, prze-

wietrzył pokój, w którym leżała, strzegąc od przeciągów, i niezliczone dawał dowody troskliwości. Stan atoli jej zdrowia nie polepszał się, a mikstury, zapisywane przez medyka, tak jej w końcu obrzydły, iż dnia jednego, gdy nową flaszkę przywieziono z apteki, w żaden sposób zażyć lekarstwa nie chciała, a mającąc w gorączce, wołała na pana Macieja, stojącego właśnie przy jej łóżku:

— Zmiłuj się, wypij za mnie, bo umrę!

Pan Maciej, który dla ocalenia jej byłby w ogień skoczył, nie wahał się ani chwili i, porwawszy flaszkę, wypił do dna obrzydliwą miksturę. Różia się uspokoiła i rzeczywiście trzeciego dnia przyszła do zdrowia; pocziwy wachmistrz za to, czy w skutek zażycia lekarstwa, czy z innej przyczyny, zachorował niebezpiecznie. Wówczas role się zmieniły: Różia teraz pielęgnowała go z całą troskliwością, a dany dowód poświęcenia, któremu przypisywała jego chorobę, tak ją wzruszył, iż gdy po kilkunastu dniach niebezpieczeństwo minęło, sama zaczęła rozmowę o ich przyszłym postanowieniu, co najdzielniej przyczyniło się do ostatniego wyleczenia pana Macieja.

Tym sposobem, wkrótce bez dalszych zwłok i przeszkód, małżeństwo pana Macieja z Rózią przyszło do skutku. Połączywszy ich, opiekun pomyślał o zabezpieczeniu dalszego losu. Pan Maciej pełniąc swoje obowiązki sumiennie i więcej zajęty dobrem pańskim niż swoim, oprócz pary koników i bryczki, nic więcej nie posiadał — wujaszek przeto puścił mu jedną z najlepszych swoich wsi w dzierżawę, na któ-

rej przez lat sześć, uczciwą pracą i zabiegliwością, tyle uciułał grosza, że mógł zadzierżawić jeden z obszerniejszych kluczków w sąsiedztwie. Tam, trafiwszy na dobrą popłatę zboża, zrobił co się nazywa fortunę i w lat niespełna dwadzieścia, to jest w chwili gdy się odbywało zdarzenie, które zamierzyłem opowiedzieć, był już dziedzicem ładnych dóbr O...tek, graniczących właśnie z I...wicami, majątkiem pana Damazego Bieganowskiego.

Ale czas wrócić się do tego ostatniego; — tylko jeszcze powiedzieć muszę parę słów o onym procesie pomiędzy dwoma sąsiadami. Gąbczewski, kupiwszy O...tki, zastał kontrowers z I...wicami o kawałek gruntu, dziesięć morgów wynoszący, który, w kwestyi będąc od lat wielu, ani jednej ani drugiej stronie pożytku nie przynosił. Zaproponował więc Bieganowskiemu, aby się podzielić zakwestyonowanym gruntem i granicę wyprostować — ale ten ani chciał słyszeć o tem, odzywając się, że wolałby całe dziesięć morgów stracić przez proces, aniżeli układać się z jakimś chłopem czy ekonomem. Bez tego nie było, żeby ktoś usłużny nie doniósł o tem Gąbczewskiemu; można więc wyobrazić sobie, na jakiej stopie były stosunki pomiędzy dwoma sąsiadami. Cała wina jednak była po stronie sędziego; pana Macieja kochaliśmy wszyscy i szanowali, jako obywatela zasługującego na to pod każdym względem; a znając tak jego prawosć, jak powód do owego zatargu, widzieliśmy, że miał słuszość za sobą.

Otóż dnia jednego, pan sędzia chodził zły od okna

do okna po swoim pokoju, sapiąc, fukając od najsiarszych piorunów i odgrażając się co chwila darcie pasów.

A miał być czego zły, bo wbrew zaprowadzonej subordynacyi, kuchcik Pawełek, amator myśliwstwa, jak wszyscy za pańskim przykładem na I... wielkim dworze, wzięwszy bez pańskiej wiedzy charty, poszedł z niemi w pole, w myśli zrobienia przysługi dla spiżarni uszczuciem kilku zajęty. Tymczasem doniósł ktoś, bo Pawełek w tej chwili za nic w świecie nie pokazałby się, że charty, poszedłszy za pomkniętym kotem, wzięły go aż na O...tkowskim polu, właśnie w miejscu, gdzie orały plugi pana Gąbczewskiego. Że zaś Pawełek, będąc pieszo, nie mógł podążyć za niemi, dopadli parobcy do plugów i, odebrawszy zajęcia, pochwycili psy i w tryumfie zawiedli do dworu.

Pan Damazy wściekał się ze złości.

— A mówię zawsze chamom, ani mi kroku na O...tkowskie pole. Pasy drzeć będę z psubrą!

I kłął, i sapiał, a bębnił z niecierpliwością w szyby, tak, że ich o mało nie powybił, wszystko około niego chodziło jak trusie. Wtem od strony O...tek spostrzegł dążącego ku dworowi chłopą, prowadzącego trzy charty na smyczy.

— A! odsyła! przeprasza!... zna przynajmniej mores.

Ale to mores było wcale inne niż myślał. Wyśledzszy już nieco ostygły przed się, zobaczył chłopą owego, rozmawiającego z ekonomem, psy zaś, puszczo-

ne, na zawołanie przybiegły zaraz ku niemu, ale przysiadając co parę kroków i liżąc świeżo zadane obrażenia.

Sędzia spojrział i oczom nie wierzył, a z purpurowego stał się granatowym. Jego charty, sławne na całą okolicę z ogonów o przepysznych kitach, przekształcone na kuse.

— Co to jest!—zakrzyknął, trzęsąc się ze złości.

— Proszę jasnie pana—rzekł prędko ekonom—ogony pourzynali i każą sobie zapłacić talara, po dwa złote od sztuki...

— Tak?! czekaj, rakarski synu!

Sędzia wpadł napowrót do pokoju, gotów do najgwałtowniejszego kroku, ale, wpadłszy, nie mógł sobie zdać sprawy, co chciał zrobić. Chodził tylko wielkimi krokami, klnąc najstraszliwiej i bijąc pięściami po wszystkich sprzętach. Nareszcie rozpierzchnięte myśli uporządkowały się w ład jakiś, zaśmiał się na całe gardło, jakby kontent z pomysłu, który mu zaświtał w głowie i, otwierając okno z takim impetem, że aż szyba trzasła:

— Kozakiewicz!—krzyknął na stojącego jeszcze w dziedzińcu ekonom — zaprzęgać natychmiast do wozu i spędzić wszystkie psy ze wsi i ze dworu!...

To powiedziawszy, usiadł przy biurku i jednym zamachem napisał list następujący:

Mości Gąbka!

Czem kto z krwi i nałogu przesiąkł, tem całe życie trąci. Trafiłeś waćpan na właściwe swoje rze-

miosło, bo obywatelskie ci nie do twarzy. Przekonawszy się naocznie o zręczności jego i znajdując cenę dosyć przystępną, nie mogę, jak korzystać z tak dobrej sposobności; posyłam więc waćpanu wszystkie psy, jakie we wsi mojej znajdują się, którym zechcesz podobną, jak tamtym trzem, dokonać operację.

Należność, licząc po dwa złote od sztuki, załączam. .

Bieganowski.

Posławszy Gąbczewskiemu ten list obelżywy wraz z dwudziestu kilku psami, uspokoił się nieco. Tymczasem pan Maciej Bogu duszę był winien i o całym tym wypadku nie wiedział, nie było go bowiem naówczas w domu. Całą tę historię z ogonami wymyślił dowcipnie jego ekonom, który znając spory graniczne, a ztąd nieporozumienia pomiędzy Bieganowskim a swoim panem, myślał, że mu się przysłuży, złapawszy psy sędziego i obszedłszy się z nimi w ten sposób.

Gąbczewski, powracając do domu, spotkał właśnie wóz z psami i sam list odebrał. Treść jego, jak łatwo sobie wyobrazić, zmartwiła go niezmiernie, a że było to już setne może szarpnięcie jego osoby i tym razem ponadto uciążające, postanowił raz już z tem skończyć.

Przyjechał zaraz do mnie.

— Patrz—rzekł, pokazując mi list—jaki przysmak otrzymałem od Bieganowskiego. Czy przypuszczałeś kiedy, aby uprzedzenie mogło kogoś tak da-

lece zaślepić. Na brudniejsze postąpienie nie zdobyłby się ostatni z tych, którymi tak pomiata!

— Cóż sąsiad myślisz zrobić? — zapytałem, spoglądając nań z współczuciem.

— A cóż? Trzeba raz wyzwąć i kiedy nie da się przemówić do rozumu, krwi mu upuścić.

Prosił mnie na sekundanta. Przyjąłem, ale przyznam się, że byłem w kłopotcie; wiedziałem już naprzód, co usłyszę. Bądź co bądź jednak, postanowiłem, chociażby przyszło użyć ostateczności, strzedz honoru powierzonej mi sprawy i trwać silnie przy swoim.

Pojechałem zaraz na drugi dzień do Bieganowskiego; gdy go uwiadomił o celu mojego przybycia, pokraśniał jak karmazyn.

— Czyście wy głowy potracili z tym Gąbczewskim!—zawołał—pobłażanie wasze rozzuchwiliło go, a ja dałem mu nauczkę, która mu się dawno należała.

— Za którą jednak—jak ma słuszne prawo, żąda satysfakcji...

— I ty myślisz, że przyjmę wyzwanie?

— Nie wątpię ani na chwilę...

— Jakto? ja, szlachcic, karmazyn z dziada pradziada, mam stawiać chłopskiemu synowi?

— Muszę zwrócić uwagę pana sędziego, że ja, taki sam karmazyn co do joty, stawam jako sekundant z jego strony.

Rozśmiał się szydersko.

— Ba! ty jesteś nowomodny postępowiec.

— Nie zapieram się. Wszak wszystko, co nie jest postępem, jest cofaniem się.

— O! wy obalać potraficie, ale nie na to miejsce nie budujecie. Pomiatacie tradycją...

— Bynajmniej. Stanowiska, jakie z urodzenia w społeczeństwie zajmujemy, nie oddalibyśmy za góry złota;—ale czujemy, że jeżeli zastęp nasz ma być silny, to być powinien falangą wybraną, przodującą rozumem i sercem;—dlatego, o ile toczące go raki należy wyrzynać bez litości, o tyle w to miejsce napuszczać krwi świeżej, jędrnej i zdrowej.

— Ha, ha, ha, i zkadże ją toczyć będziecie?—czy z żył chłopskich?

— Z serc bijących uczuciem prawości, gotowych do poświęceń dla obowiązku. Powiedz mi, sędzia, czy dałbyś satysfakcję Srokowskiemu, gdyby cię wyzwiał?

— Czyś oszalał? Temu błaznowi, który nie odlepiwszy kijów z grzbietu, na decyzję jakiegoś rady honorowej, podejrzanego składu, wyjechał gdzieś zagranicę na serwatkę.

— Ale szlachcic.

— Stracił prawo do szlachectwa.

— Na tej samej zasadzie człowiek, który nie splamił się niczem i całe życie dawał dowody uczciwości i poświęcenia się obowiązkom, jest z samego faktu szlachcicem... Wracając więc do Gąbczewskiego...

— A dajcie mi już tam z nim pokój! — zawołał popędliwie.

— Należy mu się tembardziej zadosyćuczynie-

nie—mówilem, dalej nie zważając na to, — że nie był nawet w domu, gdy zaszło to fatalne nieporozumienie.

— Jaktóż nie było go w domu! zawołał z żywością — a któż nabrał?

— Ekonom.

— Truteń! cham!

— Czy mogłeś pan sędziego przypuścić, aby obywał tej zachości i tak powszechnie szanowany jak Gąbczewski...

— Proszę cię, nie mi już o nim nie gadaj...—rzekł innym już zupełnie tonem.

— Wszakże należy mi się już odpowiedź w sprawie, z którą przybyłem... bez czego...

— Obieram z mojej strony pana Wincentego, z nim traktuj—rzekł sędzia i zaczął chodzić w milczeniu po pokoju.

Tego tylko pragnąłem. Pan Wincenty Kowski był naszym wspólnym sąsiadem. Człowiek w podeszłym już latach, ale dzielny jeszcze, jakby dawniej powiedziano do wybitki i do wypitki—zresztą sama poczciwość i honor. Pewny byłem, że z nim skończę w dwóch słowach.

Chciałem zaraz odjeżdżać, ale mnie sędzia nie puścił; zatrzymał na obiad gwałtem, wbrew przyjętej w takich razach taktyce, wyściskał, upoił, i lubo nie było już wcale wzmianki o tej sprawie, z całego toku rozmowy i zachowania się gospodarza, zmiarkowałem że miał bardzo na sercu postąpienie swoje z Gąbczewskim.

W kilka dni potem, staliśmy we czterech, ja

z Gąbczewskim i sędzią z panem Wincentym, na placu, któryśmy wyznaczyli w lesie tuż za granicą pruską. Obadwaj przeciwnicy wyglądali zaprawdę wspaniale. Byłem świadkiem dwóch czy trzech pojedynków, w których para młokosów strzelała a raczej pudłowała do siebie o zmianę figury w tańcu, lub spojrzenie kokietki, niewartej jednej kropli krwi, która mogła być wylaną, a junakerya tych panów, często sztuczna, niesmak tylko wzbudzała we mnie. Tu się rzecz miała inaczej. Na placu stali dwaj starcy, bo starcami ich nazwać było mało. Gąbczewski miał lat sześćdziesiąt kilka, prawie już siedmdziesiąt; Bieganski był cokolwiek młodszy, ale także już przeszedł sześćdziesiątkę. Pierwszy, postawy wyniosłej, szczupły lecz muskularny, prosto się trzymający, po woj-skowemu,—drugi niższy i cokolwiek otyły; u obu wąsy siwe sumiaste i miny dzielne.—Gąbczewskiego wej-rzenie było smutne, bolała go niesprawiedliwie dozna-na obelga, ale na obliczu jego rozlany był spokój, pełen godności, wypływający z przeświadczenia o czystości swej sprawy. Sędzia był jakiś gorączkowy, nieswój, gryzła go widocznie myśl o niesprawiedliwym postąpieniu z przeciwnikiem; spoglądał nań często z pod oka, z szczególnym jakimś wyrazem i niecierpliwił się w czasie przygotowań do spotkania.

Widziałeś jasno jak na dłoni, że to była walka o honor, walka dwóch ludzi odmiennych idei, uprzedzenia z prawdą—rodzaj sądu Bożego, w którym przewidywałeś mimowoli zwycięstwo prawdy wiekuistej. idącej niezmiennie raz nakreślonym torem—nad poję-

ciem spaczonem, będącem tylko wypływem przecho-  
dniego usposobienia społeczeństw lub wieków.

Walka odbyć się miała na pistolety, których obaj przeciwnicy używali bardzo biegle: Gąbczewski asy wystrzeliwał, Bieganowski zbijał złotówki w palcach wyrostka, służącego mu do zabaw myśliwskich. Strzelać mieli dowolnie, postępując ku mecie, która była na pięć kroków. Po skończeniu przygotowań i ustawieniu przeciwników, postąpili obaj jednocześnie, lecz sędzia, jakby gorączką miotany, strzelił pierwszy, nie mierząc wcale, tak, że kula obcięła gałąź o kilka kroków w bok od mety. Gąbczewski zmarszczył brwi i wystrzelił zaraz, ale także nie mierząc.

Obaj w milczeniu podali pistolety do nabicia. Za drugim razem doszli do mety bez strzału.

— Czemuż pan nie strzelasz? — zawołał porywco sędzia, łamiąc wszelkie przyjęte w tych razach formy.

— O to samo mogę pana zapytać—odrzekł spokojnie Gąbczewski.

Powrócili na miejsce. Zrobiwszy parę kroków, znowu pierwszy wystrzelił Bieganowski, mierząc pozornie uważnie, ale oczywiście chybiając z umysłu.

Tak samo zrobił Gąbczewski.

Wówczas sędzia rzucił pistolet na ziemię.

-- Panie Macieju—rzekł, nazywając Gąbczewskiego po imieniu, czego nigdy nie robił — strzelamy się nie o głupstwo, obraziłem cię ciężko, ale Bogiem się świadcę, że obraza ta pochodziła nie tyle z osobistości, jak raczej z ślepego przywiązania do idei,

a ztąd i z uprzedzenia do ciebie. Przestaję zaś cię dotykać, ponieważ publicznie przepraszam cię, a siebie głośno obwiniam o niesprawiedliwość i zaślepienie, ubolewając, że tak długo nie chciałem się poznać na wartości człowieka, którego powinienem być przyjacielem. Czy przyjmujesz więc to przeproszenie i przebaczysz mi postępek, którego od samej chwili spełnienia go żałowałem z całego serca?

Nie widzę potrzeby przytaczać odpowiedzi Gąbczewskiego. Jak szczerem i szlachetnem było odezwanie się sędziego, tak też szczerze zostało przyjęte i z taką szlachetnością doznana obraza puszczone w niepamięć.

Ucieszyliśmy się takim rozwiązaniem niezmiernie. Po serdecznych uściskach i wesołych śmiechach, pojechaliśmy wszyscy do O...tek. Wchodząc w próg domu swojego przed chwilą przeciwnika, sędzia, starym obyczajem, na tem miejscu powitał nanowo Gąbczewskiego jako gospodarza i zaklął się na wszystkie świętości, że przyjacielem mu będzie do śmierci. I dotrzymał słowa, a lubo dawne uprzedzenie rzuciło parę razy cień na ich stosunki; to, szczęściem, nie przyćmiło ich zupełnie i nie było ztąd żadnych smutnych następstw.

Zdarzenie, które opowiedziałem, działo się w roku tysiąc osiemset czterdziestym którymś, ściśle już nie pamiętam. Sędzia plątał się coraz bardziej w interesach, jak w grze „szubieniczką“ zwanej, tu mazał a tu pisał, a właściwie nawet nie mazać, dopisywał; doszedł więc nareszcie do tego, że nie miał nic

już prawie na L...wicach, a wierzyciele, a mianowicie zaś lichwiarze z okolicznych miasteczek, oblegali nieustannie dom jego, zatruwając stare lata. Gąbczewski ubolewał nad jego położeniem i kilka razy przyszedł mu w pomoc radą, a nawet w delikatny sposób i pieniędzmi; stanowczego wszakże nie zrobić nie mógł; gdyż drażliwa ambicja nie dozwalała jednemu żądać pomocy, drugiemu zaś narzucać się z nią: Pieniądze to mają do siebie, że gdy przeważną rolę grają w jakichkolwiek stosunkach, najprzyjemniejsze robią drażliwemu i, częstokroć zbrudziwszy, zrywają.

Najbardziej truła sędziego myśl o przyszłość córki, jedynaczki, którą w kilka miesięcy po owym pojedynku przywiózł był z Warszawy, gdzie chowała się na pensyi. Czuł, że mu już niedługo żyć na świecie, a wiedział, że z jego śmiercią majątek, sztucznie już tylko trzymany w ręku, rozpadnie się w gruzy. Miał krewnych, ale znając ich dobrze, nie mógł na żadnego rachować; przeklinał więc nieopatrność swoją i łamał głowę, co począć, ale to wysilało go tylko i przyspieszało koniec. Miał gotowe wyjście z kłopotu i środek do zabezpieczenia przyszłości jedynaczki, bo starszy syn Gąbczewskiego—a było ich dwóch na kilkakroćstotysięczną, a w niedalekiej przyszłości może i milionową fortunę—zakochał się szalenie w Anielce i pozyskał jej szczerą życzliwość. Starzy domyślali się tego, ale ani Gąbczewski nie byłby wystąpił z prośbą o jej rękę dla syna, ani Bieganowski nie przyjąłby jej przychylnie. Nie mógł mieć wprawdzie przeciwników temu związkowi żadnej uzasadnionej przeszkody,

bo chłopiec dobrze się prowadził; skończywszy uniwersytet w Berlinie, brał się ochotnie do pracy, nie trwoniąc pieniędzy i zdrowia, jak większa część ówczesnej młodzieży; przy takim więc mężu mógł być o przyszłość córki spokojnym.

Ale wszelką myśl odganiała prędko duma rodowa. Pomimo całej przyjaźni, jaką teraz głośnie wyznawał i czuł rzeczywiście dla osoby Gąbczewskiego, wzdrygał się na myśl zmieszania krwi swojej z jego krwią; zdawało mu się, że ludzie plwaliby nań za zaprzękanie tarczy herbowej dla marnych srebrników. Codziennie prosił Boga w pacierzu o siłę do wytrwania na swoim stanowisku, a ile razy zawitała myśl zdrowsza, lub gdy obawa o los córki radziła mu pominąć względy pychy kastowej, jęczał w modlitwie i, bijąc się w piersi, powtarzał:

— Nie wódź mnie na pokuszenie, o Panie!

Ta walka wyczerpała resztę sił jego i spowodowała niemoc, z której widział, że już nie powstanie. A upłynęło już wtedy od pojedynku lat cztery, czy pięć. Spowiadał się kilkakrotnie i nieraz przywoływał córkę, w której śliczną twarzyczkę, znękaną cierpieniami i walką pomiędzy miłością dla ojca a kochanką, wpatrywał się po całych godzinach, odmawiając ciche modlitwy.

Przyszła wreszcie chwila dawno spodziewana.

Tego dnia byłem u niego. Sędzia czuł, że jutra nie doczeka. Nie zapomnę nigdy wyrazu oblicza córki, niemą boleścią napiętnowanego — stary także bolał podwójnie, bo fizycznie i moralnie. Od rana posłał był z listem do O...tek, ale odebrał odpowiedź, że ani samego Gąbczewskiego, ani syna jego, (młodszy natenczas bawił za granicą) nie było w domu, ale skoro tylko powrócą, przybędą niebawem. Bieganowski cierpiał okropnie; lży polykałem, patrząc na niego. Obawiał się, czy doczeka przybycia Gąbczewskich; zdawało mu się, że źle obrachował się z siłami. Bez jego wiedzy pchnąłem dwóch posłańców za nimi.

Przybyli nareszcie przed wieczorem, na ich widok splakana Anielka klękała przy łożu ojca, tuląc głowę na jego piersiach. Stary, kazawszy młodemu Gąbczewskiemu ukłęknać przy niej, odezwał się do obojga:

— Przebaczcie mi, dzieci moje. Widziałem oddawna co się dzieje w waszych sercach, ale byłem względem was okrutny. Chodziło mi o sąd ludzi, dlatego myślałem po ludzku, żyłem przesądem i ciężko już ten grzech opłakałem. Ale kiedy mam stanąć przed obliczem Stwórcy mojego, pamiętam na to, że On przedewszystkiem sądzić mnie będzie. Módlcie się za mną do Niego. Adamie, oto twoja żona—błogosławię was w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Zdawało się, że te słowa wyczerpały wszystkie jego siły—twarz mu się wypogodziła, lecz oczy

w słup przewrócone i ciężki przerywany oddech świadczyły, że to już ostatnia jego chwila.

W godzinę potem, trup już martwy spoczywał na łożu, a Anielka, z głową wspartą na ramieniu narzeczonego, szlochała nieutulona...





— Kiedy niema ani kawałka, mama zapomniała zostawić Wiktosi pieniędzy na chleb.

Pan Drobiez woła Wiktosi, która wchodzi, mrużąc, że pieczeń spaliła jej się do szczytu, daje jej pieniądze i każe przynieść natychmiast bochenek chleba.

Tymczasem pokazuje się i zamazany Edzio.

— Nie becz, smarkaczu jakiś! — odzywa się ojciec z irytacją, ale pomimo to dobywa z kieszeni chustkę i uciera małemu nosek, który gwałtownie się dopominał tej usługi.

Przy tej sposobności spostrzega, że jego pociechy musiały nie być dziś myte, bo są zamorusane, aż brzydko patrzeć — ale nie potrzebuje się pytać dlaczego, bo wie, że matka uczyła się roli od samego rana.

To mu nasunęło cały szereg wspomnień.

Pobrali się przed ośmiu laty. Ona była córką byłego urzędnika, emeryta, zamieszkałego w powiatowym miasteczku. On w tej samej miejscowości był zawiadowcą stacyi na kolei, bo po ożenieniu dopiero przeniesionym został z awansem do biur dyrekcyi w Warszawie. Panna Malwina była uderzającą pięknoscią i fama jej wdzięków sięgała na kilka mil wokoło. Uchodziła nadto za pierwszorzędną talent dramatyczny; bywała prymadonną wszystkich teatrów amatorskich, jakie w mieście powiatowem organizowano na cele dobroczynne.

Zachwycali się nią wszyscy, nie więc dziwnego.

że i pan Feliks zadurzył się w niej, a następnie zakochał bez upamiętania.

Zakochać się, nie łatwiejszego, ale nierównie trudniej było wzbudzić wzajemność. Trzeba było na to kogoś pokażniejszego niż pan Feliks Drobisz, człowiek pełen zalet, pracowity, rządny, oszczędny, dobrze prowadzący się, ale tracący bardzo wiele na porównaniu z tymi, którzy składali hołdy powiatowej piękności. Jakże on po filistersku wyglądał w swoim uniformie zawiadowcy stacyi obok tych wszystkich butnych dziedziców Gołoborzów, Pustych Gumien, Zastawnic i t. p. a choćby nawet przy wyfraczonych i woniejących „fikalskich“, których dostarcza sfera urzędnicza.

Z tymi ostatnimi rywalizować nie chciał, choćby mógł, z tamtymi nie mógł, choćby chciał; ograniczał się przeto na biernych oznakach zachwyty, jaki w nim wzbudzała panna Malwina.

Ta bierność jednak zwyciężyła w ostatku. Efemeryczne hołdy „fikalskich“, których nigdy nie brano na seryo w otoczeniu panny, nie miały żadnych pozytywnych następstw; dziedzice zaś Gołoborzów, Pustych Gumien, Zastawnic i t. p. staliby się wówczas tylko niebezpiecznymi rywalami dla pana Feliksa, gdyby panna Malwina posiadała była milionowy albo chociażby tylko krociowy posąg, ale panna Malwina nie posiadała innego wiana oprócz wdzięków, a to dla tych panów nie przedstawiało żadnego interesu.

Wreszcie jeden z nich, który chciał się zabawić dłużej, niż inni, stał się powodem takiego zawodu

i rozczarowania panny Malwiny, że ta, przejrzawszy jasno, wzięła na rozum i kapitulowała przed biernym oporem pana Feliksa, który właśnie miał być przeniesionym na korzyst.ą posadę do Warszawy.

Oddała mu swoją rączkę.

Pan Feliks nie może zaprzeczyć, że od tego czasu był prawie zupełnie szczęśliwym. Po roku pożycia urodziła im się córeczka, w parę lat potem syn, co zacieśniło węzły, jakie łączyły małżeństwo. Jego Malwina była taką żoną, że najzłotliwszy obmowca nie miałby co powiedzieć przeciwko niej.

Ale szczęście najszcześliwszego z ludzi musi mieć swoje chwile zaćmienia; potrzebuje ich ono tak samo, jak kocioł parowy kłapy bezpieczeństwa. Nadmiar dobrego, jeżeli nie ma ujścia, sprawia przesyty, przygnębia i rodzi obawy. Zbyt długo trwająca pogoda kończy się najczęściej uraganem.

W ten sposób filozofował pan Feliks Drobisz i dlatego, chociaż mu to niekoniecznie było miłym, okazał się pełnym pobłażliwości, gdy po kilkoletniem pożyciu w jego żonie ocknęły się dawne upodobania.

Jakimś sposobem, przez kogoś, co był onego czasu świadkiem tryumfów scenicznych pani Malwiny, wieść o nich doszła do Warszawy. Skutkiem tego jeden z promotorów widowisk amatorskich na cele dobroczynne, prezes komitetu teatralnego, jak go tytułowano, złożył ceremonialną wizytę państwu Drobiszom i zaprosił panią do uczestnictwa, co zostało przyjęte z zapalem.

Było to zaćmienie szczęścia małżeńskiego pana

Feliksa, przeciwko któremu on nie miałby być nic tak dalece do powiedzenia, gdyby było przemijającym—ale na nieszczęście trwało trochę za długo, sprawdzając niemile następstwa.

Ot i teraz, zgłodniały, bo nie jadł śniadania, czeka na obiad; to samo i dzieci. Mógłby wprowadzić kazać sobie podać, co tam jest, i zjeść z nimi—ale czyżby to było w swoim miejscu? Jak tu nie zaczekać na żonę? Koniec końców całe owo nieszczęście ogranicza się na tem, że wytrzyma z żołądkiem jeszcze jakie pół godziny, a niechby godzinę. Ale to gorzej, że skutkiem tych coraz częstszych wydań się matki dzieci są coraz więcej zaniedbywane; po całych dniach chodzą nieumyte i nieuczesane; ojciec przecie ma swoje obowiązkowe zajęcia, które nie zostawiają mu czasu na to, żeby im ucierał noski.

Trzebaby temu koniecznie raz koniec położyć—ale jak? Pan Feliks miał już pewien projekt, który, rozważany przez kilka dni, miał czas dojrzeć. Postanowił go tedy użyć. Korzystając z chwili wolnej, gdy żony nie było widać, nakarmiwszy dzieci chlebem z masłem, siadł przy biurku, wziął ćwiartkę listowego papieru i zaczął pisać.

Pisał anonim—więc, aby zmienić pismo, kreślił litery nie w zwykły sposób od góry do dołu, lecz odwrotnie. Szło mu to jako tako, lecz gorzej było ze stylem. Przywykły do referatów, których cała wymowa polegała na cyfrach, biedził się nad budową frazesów.

To, co pisał, wymagało subtelnej finezyi, żeby

osiągnęło skutek, a on w tem nie miał wprawy. Ale przecie wybrnął jako tako z zadania i właśnie kończył jakimś zakrętasem, mającym symulować podpis, gdy weszła żona.

Schował swoje wypracowanie do bocznej kieszeni surduta i, po przywitaniu, któremu starał się ile możności nadać cechę obojętności, zasiadł w milczeniu do familijnego obiadu.

Zdawało się, że pani Feliksowa nie zwracała najmniejszej uwagi na zagadkowe usposobienie męża, bo była rozpromieniona i rozповідаła najswobodniej w świecie o próbie, z której wróciła pod wrażeniem odniesionych tryumfów.

— Wiesz też, Feluniu, — mówiła, kończąc swoją relację, — co mi powiedział nasz prezes? Zgadnij!?

— Zapewne słowa uznania za ofiarę, jaką z siebie robisz, odpowiada Felunio z jakąś ironią.

— Ofiarę? cha! cha! cha! Nikt mnie do niej nie zmusza; jeżeli to jest ofiarą, to najzupełniej dobrowolną. Oto powiedział mi, że, mając talent, powinnabym wstąpić do teatru.

— A widzisz!

— Co takiego?

— Że miałem rację nazywać to ofiarą; jest to naturalne następstwo tego, co robisz z siebie. Być narażoną na słuchanie podobnych propozycji!

— Cóż ty znowu! To był komplement powiedziany artystce!

To słowo: „artystce“ wymówiła z emfazą.

— Być może, ale impertynencya dla żony i matki dzieciom.

— Impertynencya!

— Powinnoby cię to skłonić do zastanowienia się nad następstwami, bo na dobitkę patrz, jaki list dziś odebrałem.

To mówiąc, pan Feliks, zarumieniwszy się pomowoli, podaje żonie swoje własnoręczne pismo, z takim mozołem wypracowane.

Pani Feliksowa porywa je i czyta następujące słowa:

— Pisze do ciebie osoba dobrze ci życząca. Jeżeli masz choć odrobinę władzy w domu (o czem niektórzy wątpią), nie pozwalaj swojej żonie występować w teatrach amatorskich. Jej i twoja dobra sława cierpi na tem. Twoja pani posiada zanadto wdzyków, aby to nie stało się dla niej niebezpieczeństwem — połowa amatorów, którzy widzą zachętę w tem, co jest może tylko niewinną zalotnością, kocha się w niej na zabój. Jeżeli jest kobietą uczciwą, niech unika pozorów i wycofa się póki czas jeszcze. Tego wymaga jej położenie jako żony i matki.

Podczas czytania pan Feliks śledził pilnie wyraz oblicza swojej żony, na którym spodziewał się wyczytać zgrozę, oburzenie, lęk. Tymczasem, o dziwo! zamiast tego wszystkiego, na twarzy pani Malwiny pokazał się jakiś nieokreślony uśmieszek, zmieniający się co chwila i wyrażający całą gamę uczuć, zlewających się w jeden akord brzmiący... zadowoleniem!

Oczywiście, słowa nieznanego korespondenta.

sprawiły jej przyjemność; odczytała je po raz drugi i trzeci, poczem, zamiast zwrócić na męża wzrok pełen błagania i skruchy, jak się tenże napewno spodziewał, skierowała go ku zwierciadłu, zdobiącemu jej toaletę.

Zawód p. Feliksa był najkompletniejszy.

— Kto też to mógł pisać? odezwała się po chwili z wielkiem ożywieniem, — nie domyślasz się przypadkiem? charakter widocznie zmieniony.

— I tak obojętnie to przyjmujesz? zapytał mąż.

— Wcale nie obojętnie... rozumiesz przecie, że mi to musi pochlebiać.

— Pochlebiać?

— I tobie także, — peroruje jejmość z zapalem, — przynajmniej tak być powinno; czyż może coś być przyjemniejszego dla męża, jak słyszeć hymny uwielbienia skierowane do jego żony?

— Ty to nazywasz hymnami uwielbienia?

— A spodziewam się. Podług was jest to próżnością, ale żadna z nas nie może się gniewać o to, że ktoś wysławia jej piękność. Chęć podobania się jest w nas wrodzoną.

— Ależ następstwa! następstwa!

— Następstwa? to zależy od nas samych. Czyż kobieta przestaje być uczciwą dlatego, że połowa nadszakujących jej mężczyzn kocha się w niej?

— A jeżeli daje powody?

— To co innego. Ale są powody i powody, — mówi pani, coraz więcej zapalając się. — Możecie potępić lafiryndy, wabiące do siebie mężczyzn przy pomo-

cy kokieterii, ale pozwólcieź nam, uczciwym, tej niewinnej rozkoszy, jaką nam sprawia pewność, że się podobamy.

— Uczciwemi nazywają tylko te, które chcą się podobać wyłącznie swoim mężom! — odpowiada pan, także coraz więcej zirytowany.

— Chcieć, to za mało, potrzebaby jeszcze do tego abnegacyi, o którą trudniej. Nie jesteśmy tureckimi niewolnicami, żeby się odgradzać zasłonami od spojrzeń mężczyzn.

Pan Feliks, słuchając wywodów swojej żony, chodził coraz większymi krokami po pokoju, nareszcie zapytuje:

— Więc koniec końców, ten list cię nie obraża?

— Jeżeli może mnie co obrazić, to twoje podejrzenie! — rzecze majestatycznie małżonka.

— Ale cóż znówu, ja cię nie podejrzewam wcale, przepraszam! odpowiada mąż, nie chcąc zająć zadaleko.

— Nie podejrzewasz! — mówi pani, — a cóż znaczyły twoje słowa?

— Jeżeli ci robię uwagi, dodaje pan Feliks z godnością — to dlatego, że jako mąż i ojciec twoich dzieci mam prawo i obowiązek strzedz cię od fałszywego kroku.

— To jest, że masz prawo i obowiązek odprowadzenia mnie jutro wieczorem na próbę. Będziesz miał więc możność sprawdzenia, o ile sama winną jestem temu, co jakimś głupcowi podobało się o mnie napisać.

Pan Feliks skrzywił się szkaradnie, lubo nie wziął tak dalece do serca tego, że jego żona nazwała głupcem autora tego listu; jego głównie obeszło to, że mógł się tak omylić. Przekonał się, jak fałszywego użył środka i jak był naiwnym, przypuszczając, że wywoła oburzenie tem, co musi pochlebiać każdej kobiecie, chociażby była największą purytanką pod względem zasad. Sądził w prostocie ducha, że jejmość obrażona posądzeniami nieznanego autora listu, aby wykazać ich bezpodstawność, w świętem oburzeniu odeśle rolę panu prezesowi i wyrzeknie się uczestnictwa we wszystkich teatrach amatorskich.

Tymczasem stało się przeciwnie.

To mu dało wiele do myślenia, a naprzód przekonało, że pomimo ośmioletniego pożycia z żoną, pod względem znajomości natury kobiecej był prawdziwym żakiem:

Na dziś przeto poprzestał na tem, co się stało, nie rozmazując dalej sprawy.

Drugiego dnia zaprowadził sam żonę na próbę, której był bardzo uważnym widzem. Usiadłszy w jednej z ławek pogrążonych w półcieniu, przypatrywał się żonie, śledząc każdy jej ruch.

Była bardzo ożywiona i wyglądała prześlicznie; najprzód więc, musiał to przyznać sam przed sobą po cichu, że gdyby był na miejscu któregokolwiek z tych panów, którzy uczestniczyli w próbie, nie byłby w stanie powstrzymać się, aby nie złożyć hołdu jej wdziękowi.

Z jej strony nie zauważył nic takiego, coby mu dało prawo do obaw. W obejściu z mężczyznami była zimna, nie wyróżniała żadnego z nich jakąś szczególną poufałością, pomimo, że czarowała wszystkich uśmiechem, w którym z pewną kokieteryą pokazywała prześliczne ząbki.

Jej ząbki! niestety, pan Feliks, jako mąż, był posiadaczem tajemnicy, o której nikt na świecie nie wiedział.

Przed paru miesiącami jego pani postradała była jeden ząbek na samym przodzie. To ją przyprowadziło do rozpacz. Przez jakiś czas nie wychodziła wcale z domu, kryjąc się przed ludźmi, a jeżeli wypadło już jakie konieczne spotkanie, sznurowała usteczka, uśmiechając się tylko ich kącikami. Nareszcie w obawie jakiejś mimowolnej niedyskrecyi, zdecydowała się zastąpić ów wypadły ząbek sztucznym.

Od tego czasu odzyskała cały humor i weselość. Stała się rozmowniejszą niż kiedykolwiek, a gdy trzeba było uśmiechnąć się, mogła sobie już pozwolić tego bez żadnej obawy.

Cóżby się jednak stało, gdyby tajemnica wyszła na jaw? na wspomnienie o tem truchlała. Strzegła jej więc jak oka w głowie, szczególnie przed służącą i dziećmi, których rewelacje bywają najniebezpieczniejsze. Gdyby się to dało nie byłaby dopuściła do niej nawet męża, ale to już było niepodobieństwem.

Zresztą, czyż można było przypuszczać, aby ta właśnie straszna tajemnica w jego ręku stała się bro-

nią przeciwko własnej żonie? Gdyby to przypuszczenie przyszło jej było kiedykolwiek do głowy, byłaby się rozśmiała sama z siebie.

A jednak tak się stało!

W kilka dni potem, przy samym końcu obiadu (aby nie popsuć żonie apetytu) pan Feliks, dobywszy z kieszeni list w zalepionej kopercie, rzekł:

— Znowu odebrałem jakiś anonim, tak przynajmniej wnoszę z pisma; nie otwierałem go, domyślając się, że zawiera to samo co poprzedni. Są to insynuacje, których niema co brać do serca; sądzę więc, że najwłaściwiej byłoby to spalić.

— Bez wątpienia — rzecze pani — ale jednak ciekawa jestem tych bredni, to mnie bawi.

— Jak chcesz, kochanie.

Przedewszystkiem obejrzano napis na kopercie. Charakter był bardzo niekształtny, widocznie ktoś użył do pisania lewej ręki. Pani naśmiała się z tego dowoli, nareszcie nie bez pewnego bicia serca wydobyła list.

Oto co opiewał:

— Jeżeli kobieta z pretensją do podobania się ma tajemnicę, mogącą zdyskredytować jej wdzięki, niech jej strzeże dobrze, jeżeli nie chce wystawić się na śmieszność. Twoja żona jest przedmiotem żartów, które nie wiem czyby jej się podobały, gdyby je mogła słyszeć. Pewna osoba (naturalnie płci męskiej) wychwalała jej uśmiech, którym wszystkich czaruje; na to obecny właśnie prezes odezwał się:—byłby isto-

nie niebezpiecznym, gdyby ząbki, które przy tej sposobności pokazuje, były jej własne.—Wiem, że to jest fałsz, ale gdy już raz poszedł w kurs, nie wyperswadujesz nikomu, że to nieprawda. Są tacy, co utrzymują, że cała szczeka wprawiona i na próbach lornetują twoją żonę po to tylko, żeby to sprawdzić, studiując jej każdy uśmiech. Były już zakłady. Z pewnością dentysta został lichy wynagrodzony i wygadał się.

Ten ostatni frazes bardzo zręcznie oddalał podejrzenie od męża, który istotnie, oprócz dentysty, sam jeden był posiadaczem tej tajemnicy; mógł przeto najobojętniej w świecie zapalić papierosa, podczas gdy żona czytała. Spoglądał tylko z pod oka na jej mieniące się co chwila oblicze.

Gdy skończyła, naprzód zawołała tragicznie: „Okropność!“ — potem zmięła list i rzuciła na stół, mówiąc do męża:

— Czytaj, czytaj!... a! to niegodziwość!

Pan Feliks przeczytał list uważnie, potem, udając wielkie oburzenie, rzecze:

— Wiesz ty, kochanie, ja go zaskarżę do sądu.

— Kogo? prezesa?

— Nie! dentystę, to jest zdrada zaufania.

— Jeszczeby tego brakowało! Zresztą onby tego nie zrobił, ja wiem! to prezes tak sobie zmyślił na prędce... o! niegodziwy... i co za ordynaryjna przyczepka... a choćby też tak było? jeden ząb! albo to każdemu nie może się trafić?... a! wiem, jak się zemścić.

Z pośpiechem wydobyła z kieszeni sukni żeszyt: była to rola, którą zawsze przy sobie nosiła. Z majestatycznym giestem podała ją mężowi, mówiąc:

— Feliksie! jeżeli masz jakiegokolwiek przywiązanie dla żony, jeżeli ci jest drogą jej dobra sława, odeszlesz mu zaraz rolę. Nie chcę wiedzieć o żadnych ich teatrach amatorskich.

— Kochanie, czy to wypada? — robi uwagę mąż.

— Jaktó! wahasz się?

— Ależ nie, tylko myślałem...

— Co myślałeś?

— Że dla takiej drobnostki pozbawiać się przyjemności, do której tyle wagi przywiązujesz...

— To ty nazywasz drobnostką! ty, mąż!

— No, już ci wolę, żeby cię posądzano o fałszywe zęby, niż o kokieterię, która przyznasz, że w kobiecie zamężnej...

Na te słowa pani Malwina uciekła się do spazmów, ale pan Feliks, wiedząc z doświadczenia, że to przeminie, starał się przyjąć wybuch z całym stoicyzmem, na jaki mógł się zdobyć. Zresztą, wolał już poświęcić jakąś godzinkę na trzeźwienie, perswadowanie i nawet przeproszenie żony, aniżeli dzień po dniu jadać obiad spóźniony i ocierać noski dzieciom.

Środek, jakiego użył dla wyleczenia żony ze zgubnego dla spokoju domowego dyletantyzmu, był nieco brutalny, to nie ulega wątpliwości, ale widząc, jak skutecznym się okazał, winał sobie pan Feliks, że wpadł na jego pomysł.

Że jednak nie chwalił się przed nikim i że tajemnica co do autorów obu anonimów pozostała na zawsze nieodgadnioną, dodawać byłoby zbytecznem.

Wszakże ta tajemnica to talizman, który mu zapewnił szczęście domowe — jakże jej strzedz nie miał?

# Pajaczek.

Nie wiem czyście znali Pajaczka?

Był to młodzieniec bardzo przyzwoity, ubierał się modnie i uczęszczał do najlepszych towarzystw, gdzieście się z nim może nieraz zetknęli—ale właściwie nazywał się inaczej, bardzo zwyczajnie, po prostu Kazio, z nazwiskiem w rodzaju tych, jakie zdarza się nam napotykać na każdym kroku.

Pajaczek był to jego pseudonim, a raczej *nom de guerre*, jak mówią francuzi.

Kazio, mając bardzo szczupłe fundusze, a lubiąc żyć dobrze, czepiał się zawsze osób mających te same upodobania przy pełnej kieszeni, a że wisiał tak przy każdym póki go mógł ssać, więc bardzo trafnie nazwano go Pajaczkciem.

Pajaczek nie gniewał się o tę nazwę, owszem

tak postępował, jakby się starał ile możności ją usprawiedliwić.

Ale nie zawsze uśmiechało mu się szczęście, czasami przychodziły dlań ciężkie chwile, i wtedy zaczął przemyślać, jakby to, przyzwyczajawszy żółdyczek do dobrych rzeczy, zapewnić mu używanie i nadal.

Raz szczególnie, było koło niego bardzo krucho: kilka much, które ssał, zniknęło z horyzontu—nowe jakoś nie dopisywały, ze smętną miną zatem, na czczo, chociaż to była pora poobiednia, włókł się przez Nowy-Świat ku Krakowskiemu-Przedmieściu, a że wybrał się rzeczywiście na łowy, więc zdaleka już dojrzał pędzącą od przeciwnej strony, po kawalersku, dryndę, a w niej głupio, więc najmilej dlań uśmiechniętą fizys znajomego mu prowincjonalnego dandysa z mlekiem pod nosem, Antosia.

Zrobiło mu się tak miło jak wyżłowi, gdy zawietrzy stado kuropatw, a bojąc się przepuścić zwierzynę, stanął na trotuarze w takiej pozycji, żeby nadjeżdżający koniecznie go spostrzegł, a że tamten, jak zwykle złota młodzież, jechał na to, żeby widział i był widziany, więc przyszło to bardzo łatwo.

Pajęczek, z niewymownym wdziękiem, przesłał od ust całusa, nowoprzybyły w momencie zahamował dryndę, i wyciągnął do niego dłoń. Za chwilę, siedzieli obok siebie.

— Jak się masz? gdzie jedziesz? gdzieś szedł? posypały się pytania, a po zaspokojeniu ich: co robisz dziś?

To ostatnie jest charakterystyczne. Zadają je właśnie ci zawsze, którzy nic nie robią i nie myślą robić.

Antoś przyjechał do Warszawy umyślnie bawić się, więc spotkanie takiego warszawskiego wyjadacza, jak Pajęczek, było dlań nader pożądanem.

To też ten nie odczepił się już od Antosia i ssał tłustą muszkę. Ale wskutek tej zabawy, muszka zaczęła chudnąć, wszystkie fundusze, wzięte z domu, wyczerpały się i razu jednego nareszcie, po wielu omówieniach, biedny pacjent nieśmiało zwierzył się Pajęczkowi, że chciałby zkąd pożyczyć pieniędzy.

— Czy uregulowana na ciebie hipoteka? — zapytał tenże z powagą.

— A jakże.

— Długi są jakie?

— Oprócz Towarzystwa kredytowego nic a nic.

— No, to może się znajdzie. Ja właśnie jestem w takim samym położeniu, potrzebuję parę tysięcy rubli, moglibyśmy pożyczyć solidarnie, to łatwiej do stanie.

— A! to wybornie!—wykrzyknął Antoś, wiedzący tyle o skutkach solidarności, co koza o użytku pieprzu, ale czujący, że Pajęczek, związany z nim interesem, postara się prędko doprowadzić rzecz do skutku.

Jakoż, po kilku dniach niecierpliwego oczekiwania, w mieszkaniu jednego z przyjaciół Pajęczka, także wyjadacza warszawskiego, zeszli się:

1) tenże Pajęczek z Antosiem,

2) pan Szloma Grünapfel, personat wielki i najważniejsza osoba z tego zebrania, bo wyładowany pugilares sterczał mu na piersiach,

3) pan Mojsie Endiger, faktor, bez którego pan Grünapfel żadnego interesu nie robił,

4) jakiś żydek bezimienny, z zagadkową miszą przybyły, który usiadł sobie skromnie na boku, i

5) rejent ze świadkami.

Bezpośrednim rezultatem tego zebrania, było spisanie aktu, mocą którego Szloma Grünapfel wypożycza Antoniemu N. i Kazimierzowi S. na *zwykły procent* (Endiger zwrócił na tę okoliczność uwagę Antosia) sumę rub. 4,000, którą obaj solidarnie, bez odwoływania się jeden do drugiego, oddać obowiązują się za miesiący trzy od daty aktu i zabezpieczają ją na całym swoim majątku ruchomym i nieruchomym, a w szczególności Antoni N. na swoich dobrach dziedzicznych Głuptasy wielkie i małe. Szloma Grünapfel walutę w obecności rejenta i świadków wypłacił w jednej połowie, to jest rub. 2,000, listami zastawnymi *al pari*, w drugiej, wekslem płatnym za miesiąc, wystawionym przez Lewka Meisterstück, handlującego, w mieście Lublinie zamieszkałego, który to weksel za dobry pożyczający uznali.

Przed podpisaniem aktu i wyliczeniem waluty, Mojsie Endiger wziął na stronę Antosia i powiedział mu, że jest jeszcze jeden warunek, to jest aby zastawne wymieniono zaraz na gotówkę u owego zagadkowego żydka w tym celu, jak się pokazało umyślnie przybyłego, gdyż—dodał p. Endiger — to jest zwy-

czaj przy każdej pożyczce przyjęty przez pana Grünapfel, który tego żydka proteguje.

Gdy Antos, pragnący jaknajprędzej skończyć, zgodził się na ten warunek, podpisali wszyscy uroczyście; i pan Grünapfel wyliczył dwa tysiące rubli, z których tysiąc wziął Pajączek, potem wypito po parę kieliszków szampana, który skądś się znalazł jak na zawołanie.

Gdy przyszło do ostatecznego obrachowania się, Antos, zaciągawszy na swoją hypotekę cztery tysiące rubli, bo ten dług rzeczywiście jego tylko ciążył, został posiadaczem 657 rubli w gotowiznie, a to takim sposobem:

|                                                                                                                      |          |
|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----------|
| Na listach zastawnych, które stały wtedy po 82 za sto, stracił . . . . .                                             | rub. 180 |
| Rejentowi, który się fatygował do mieszkania dał . . . . .                                                           | rub. 50  |
| Faktorowi, panu Mojsie Endiger, za następczenie tak świetnego interesu, przy ówczesnej stagnacji i braku kredytu . . | rub. 100 |
| Za dwie butelki szampana, które, jak się pokazało, na jego koszt przyniesiono . . . . .                              | rub. 10  |
| Świadkom po rub. 1 kop. 50 . . . . .                                                                                 | rub. 3   |

Czyli razem rub. 343

wydatku, za tysiąc, który dostał do ręki.

Co do weksłu pana Meisterstück na dwa tysiące rubli, Pajączek, pomimo że gwarantował solidarnie całą sumę, zrzekł się doń zupełnie pretensyi, przeczuwając snać, że nie był nic wart i kontentując

się tysiącem rubli gotówki, na które, jako człowiek sumienny, wystawił w obecności rejenta najformalniejszy rewers.

Z obecnych przy tym akcie niktby sumiennie nie przysiągł, czy Pajązek płacił faktorne Endigero-wi, albo za akt rejentowi, albo też czy zmieniał listy zastawne u podstawionego żydka.

Jeszcze rejent i świadkowie nie odeszli, gdy zjawili się jacyś dwaj ichmoście, gospodarza przyjaciele i dobrzy koledzy, jak im z oczu patrzalo. Pajązek więc namówił łatwo Antosia, że pozostali. Gawędzono, sadzono się na koncepta, śmiano się nawet ale półgębkiem, jakby oczekiwano na coś lepszego; jakoż niezadługo gospodarz zaproponował partyjkę preferensa, z którego następnie wywiązał się niewinny lancus. Antoś, który na to tylko czekał, z ochotą uczestniczył w grze, ale nic a nic mu nie szło. Za to Pajązek zrobił świetny interes, bo przyszła mu taka szalona talia, że skwitował się z Antosiem i odebrał od niego swój rewers na tysiąc rubli.

Działo się to dwadzieścia mniej więcej lat temu.

Dziś Pajązek, a właściwie pan Kazimierz S., bo o owym pseudonimie zapomniano, żyje sobie porządnie, przechadza się codzień po Saskim ogrodzie, a w zimie po Nowym Świecie, z miną człowieka, który się zasłużył dobrze społeczeństwu i, zdobywszy sobie w pocie czoła kapitalik, używa go uczciwie na stare lata. Jada u Stępkowskiego albo u Boqueta i w Resursie grywa w preferansa po pięć kopiejek

punkt, z nieosobliwym szczęściem, bo częściej przegra niż wygra. Mówią wprawdzie, że odbija się w którymś hotelu na *innocentach* (nazwa techniczna), których zgrywa w sztos, ale to może bajki.

Antoś w wyszarpanym paltocie, wykoszlawionych butach i wytartym kapeluszu, chodzi także po ulicach Warszawy, dostawszy pewnego rodzaju monomanii, objawiającej się tem, że każdego z dawnych znajomych, którego spotka, prosi o pożyczenie pięciu rubli. Trzeba wszakże powiedzieć na jego pochwałę, że gdy dostanie rubla, kontentuje się nim i więcej nie żąda.

Spotyka się nieraz z Pajązkiem, ale ten udaje, że go nie poznaje i odwraca się z pogardą.

Widujecie ich codzień.

## Suknia z Paryża.

---

Od czasu jak się pobrali, to jest od lat trzydziestu, nie byli państwo Bombolewscy w większych kłopotach jak wówczas, gdy najmłodsza ich córeczka Reginka przywdziała długą sukienkę i uznaną została za pannę na wydaniu.

Starszych od niej było w domu cztery, ona była piąta. Tamte rosły sobie jak Bóg dał, były posłuszne rodzicom, jak Bóg przykazał; nie celowały wdziękami, ale też i nie były brzydkie — ot, tak sobie, jak córki obywatelskie swojego chowa.

Nie wiedła długo w panińskim stanie, bo skoro tylko która z nich dorosła, wnet znajdowała odpowiednie sobie konkurenta, w bliższem lub dalszem sąsiedztwie. Tak bywało za niedawnych jeszcze cza-

sów, gdy przy utrudnionych komunikacjach, panienek szlacheckich nie wywożono jak dziś na wielkoświatowe targowiska, ani też nie zjeżdżali się do nich *emuzerowie* z końca świata, pragnący capnąć, w pocie czoła ojcowskiego uciulane wiano, wzamian za szyk i gładkie maniery.

Trzymano się staroświeckiego przysłowia: „Kraść daleko, a blisko się żenić,” to też „każda Marta znajdowała swojego Gotarta,” co najwyżej w drugiej albo trzeciej parafii. Dworki szlacheckie były rozsadanymi, dostarczającymi mężów dla panienek szlacheckich.

Większa część tych przyszłych mężów i matadorów powiatowych, przeszedłszy parę klas piecem—dawała rychło za wygraną szkołom, wyperswadowawszy życiodawcom, że zbyt górna uczoność jest rzeczą na nie nieprzydatną synowi obywatelskiemu. Więc taki synek obywatelski, uwolniwszy się z pod feruły szkolnej, sprawiał sobie czemprędzej za pieniądze rodzicielskie cztery szkapy i wolant albo nejdyczanką, któremi poradował na jarmarkach i po sąsiedztwach, brał dla formy dzierżawkę, albo w administrację od rodziców jakiś folwarczek, na którym gospodarował nienajgorzej, o tyle naturalnie, o ile pozwalało mu na to główne zajęcie.

Tem głównem zajęciem było upatrywanie sobie żony, odpowiadającej mniej więcej własnej jego kondycji i aspiracyom.

O miłości nie było tam najczęściej mowy. Taki Jaś, Piotruś lub Oleś robił sobie najprzód spis panien

na wydaniu, znajdujących się w promieniu kilkomilowym, z silnem postanowieniem zabrania z niemi bliższej znajomości jakimkolwiek sposobem.

Jeździł więc po sąsiedztwach, wpraszał się na imieniny, chrzciny i wesela, uczestniczył w kuligach, bawił panienki domoroślami conceptami, przyglądał im się, komplementowa<sup>1</sup> i obtanicowywał tak długo, dopóki która z nich nie wzbudziła w nim większej od innych skłonności. Rozumie się, że taka wybrana odpowiadała mniej więcej jego widokom materyalnym, bo przy owych oględzinach, gołe nie wchodziły wcale w rachubę; nie miał ich wcale na liście, nie istniały dlań. Bywały wprawdzie i wyjątki; zdarzało się czasem, że kupido burzył wszystkie powzięte najprzód postanowienia, ale były to wypadki tak rzadkie, że opowiadały o nich pokolenia.

Otóż poczuwszy do jednej z panien większy niż ku innym afekt, a nieraz tylko poprostu wmówiwszy to w siebie, co już zależało od wpływów zewnętrznych, jak stanowisko rodziny, koligacye, grudy posag i t. p. rozpoczynał taki kawaler konkurencyę na seryo. A była na to przyjęta już raz na zawsze jedna i ta sama forma: zajeżdżał wyporzadzonym *od hoc* ekwipażem, w regularnych odstępach, najprzód co tydzień, potem coraz częściej, akomodował się wszystkim w domu, zjednywał sobie służbę datkami, swojego furmana uczył jak miał o nim mówić w kuchni, słowem wciskał się wszystkimi porami w ognisko rodziny, której pragnął zostać członkiem.

I jeżeli tylko nie był uderzającym pokraką, nie miał zbyt widocznych ułomności, nie gadał przez nos, albo nie szeplecił w sposób zbyt śmieszny, panna, chociażby jej serce nie biło zrazu silniej na jego widok, przyzwyczajala się doń potrochu, zaczynała mieć upodobanie w jego towarzystwie, wreszcie podkochiwała się, sama nie wiedziała jak i kiedy.

Dla młodej panienki, zwłaszcza swojego chowu, posiadanie na swoją wyłączną własność zdecydowanego konkurenta, miało i ma zawsze niewymowny urok. Wszakże ten młodzieniec, zajeżdżający co dni kilka z taką paradą, przybywa dla niej tylko, wyłącznie dla niej. Fakt ów czyni ją główną osobą w domu; wszyscy jej pochlebiają, ustępują z drogi, skutkiem czego nawet nabiera grymasików, których jej przedtem mieć nie było wolno. Zaczyna marzyć o przyszłej swojej pozycji, jako mężatka. Mężatka!—ileż wyraz ten mieści w sobie!

Cóż więc się dziwić, że wdzięczną jest człowiekowi, który ma ją wprowadzić w zaczarowaną krainę, że przywiązuje się doń mimowoli. Jest z nim wraz poufalszą, przyjmuje go coraz wdzięczniejszym uśmiechem, wreszcie oczyma zdaje się mówić:—kończcie już prędzej!

No, i nareszcie trzeba kończyć. Dla niejednego jest to najcięższy kłopot do przebrnięcia—naturalnie, mówię zawsze o konkurentach domorosłych—trafiają się i tacy, których trzeba ciągnąć za uszy, niejedna panienka rezolutna, sama wywiódła go z ręcznie na słówka, bo w takich razach panienki pomimo swojej dzie-

wiezości. bywają daleko sprytniejsze od mężczyzn. Niejedna napozór gąska, zapędzi w kąt najpewniejszego siebie w innych razach bywalca.

Bądź co bądź, rezultat zawsze jest taki, że jakoś wykrztusi się to co potrzeba i wówczas cała sprawa wytacza się przed forum rodzicielskie.

Więc w parę dni potem, przed dom janny zajeżdża już nie wolant lub najdyczanka, lecz powóz lub jakie stare karecisko, a w niem rodzice kawalera, albo też w ich braku, lub w razie niemożności przybycia, jakiś stryjaszek, wujcio, cioteczka, wszystko to wystrojone świątecznie, a wraz z nimi wyfraczony jak na bal konkurent, dla którego ta chwila jest jedną z najgłupszych w życiu.

Koni się wówczas nie wyprzęga. Równie ekwipaż jak wszyscy przybyli, jak wreszcie i domowi, mają miny uroczyste, postawy sztywne, wykrochmalone.

I odbywa się obrzęd uroczystych oświadczeń, ciążący wszystkim biorącym w nim udział, po którego dopiero pomyślnym rezultacie wracają dobre humory, a wszystkie następne ceremonie, poczynawszy od zaręczyn aż do ślubu, idą już jak po maśle.

Tym odwiecznym trybem odbyły się po kolei i oświadczyły i wesela czterech starszych córek państwa Bombolewskich.

Ale tymczasem dorosła najmłodsza Reginka, w niczem nie podobna do sióstr, ani z urody ani z usposobienia. Tamte były sobie zwyczajne pannice wiejskie, których typ wyrobił się i dochował w szlache-

ckich dworach i zaściankach. Jedna w drugą gospodynie zawołane, ujmowały wdziękiem młodości, bo żadna z nich nie zabrnęła w staropanieństwo — ale też nie więcej; oblicza ich można było porównać z niezamąconem zwierciadłem cichego stawu, a oczy były niby szybki ze szkła matowego, przez które gdyby kto chciał był zajrzeć do serduszek, nie byłby nic zobaczył.

Zupełnie inną była Reginka. Prześliczna blondynka, zgrabniutka, wiotka i prawie eteryczna, oczy miała wielkie, fioletowo-czarne, mieniające się co chwila. Czasem wydawała się aniołkiem, który tylko, tylko co ma ulecieć do nieba, czasem wyglądał z tych ocząt jakiś dyablik, czyniący to stworzenie jeszcze powabniejszym.

Swoją drogę miała grymasów co nie miara, bo rodzice psuli ją pieścizotami; patrzali w nią jak w święty obrazek i mieli najświętsze przekonanie, że ich „złotko“ (bo tak ją nazywali) robi świetną karierę.

Wprawdzie jak na tak liczne potomstwo u szlachcica średniej zamożności, który nie mógł dawać córkom posagów, będąc zaledwie w stanie zdobyć się na przyzwoite wyprawy, to wszystkie cztery starsze zrobiły kariery, bo każda z nich dostała męża, wprawdzie nie galanta, ale człowieka uczciwego, dobrego, gospodarza, mającego chleb w rękę i mogącego zapewnić względny dobrobyt żonie i dzieciom.

Ale w przekonaniu rodziców nie można było nazywać tego karierą, taką, jaka czekała niewątpliwie Reginkę. Przyszłego jej męża ubierała sobie ich wy-

obrażnia w postać wielkiego pana, który zajedzie do ślubu w złotej karecie, zaprzężonej w sześć białych koni i, jak w owej bajce, przywiezie żonę jako dar ślubny trzy suknie niesłychanego blasku „jedną w same słońca, drugą w same miesiące a trzecią w same gwiazdy.“

Jednak rzecz dziwna: w bajce taki mąż występuje w postaci młodego królewicza cudnej urody — mąż zaś państwa Bombalewskich nie był ani królewiczem, ani świecił urodą; tego bynajmniej od niego nie żądali.

W marzeniach ich snuły się tylko karety, cugi, świetny dwór i wszystko co za tem idzie: sam pan mógł być jaki chciał, byle miał na sobie „złociste szaty“; nie potrzebował koniecznie być młodym i pięknym, przeciwnie, pewna dojrzałość wieku i oryginalność rysów nie szkodziła mu nawet. Tem cudniej odbijałaby odeń jego żona.

Nie więc dziwnego, że państwo Bombalewscy byli w siódmym niebie, gdy pan Aleksander Bulhacz zaczął bywać u nich w najoczywistszym zamiarze konkurowania o Reginkę.

Byłto kawaler niestary jeszcze, chociaż już niekoniecznie młody, mógł mieć bowiem około lat czterdziestu; więc z wiekiem zresztą byłoby pół biedy; ale niestety, powierzchowność pana Aleksandra pozostawiała wiele do życzenia. Chłop tęgi, niezgrabny, miał małe oczki a twarz wielką, szeroką i płaską, osadzoną na karku grubym jak u tura. Wprawdzie na tej twarzy i w tych oczkach malował się wyraz łagodności i dobroci, ale to mogło podobać się tylko nie-

interesowanemu spostrzegaczowi; w oczach młodych panienek nie idzie to bynajmniej na karb wdzięku męskiego. Powiedzmy jednym słowem: p. Aleksander był porządnie brzydki, ale za to miał jeden przymiot, równoważący wszystkie możliwe wady i niedoskonałości, oto był bogatym, a jak na wymagania państwa Bombalewskich, kolosalnie bogatym. Miał miasteczko i pięć wsi, i mieszkał w wielkim starym muryowanym dworze, mającym cztery wieżyczki po rogach, i zwanym dlatego w całej okolicy zamkiem.

Nie był panem z panów, bo ojciec jego dorobił się tak pięknego majątku na dzierżawach i rozlicznych spekulacjach, w liczniejszych towarzystwach bywał nieśmiały, a nawet czasem śmiesznym; ale wszystko to nic a nic nie szkodziło państwu Bombalewskim — był dla nich idealnym kandydatem na zięcia.

Co do Reginki, to ta sama nie wiedziała co robić. Nie miała najmniejszego przekonania do p. Aleksandra, a z drugiej strony pochlebiało miłości własnej to staranie się jego o jej względy. Barometr usposobień panienki zmieniał się co chwila, a najwięcej na te zmiany wpływały plotki i gadaniny serdecznych przyjaciółek, które, ośmieszając w jej oczach konkurenta, w duchu jej go zazdrościły.

Wszystko to drażniło ją niezmiernie, a raz nawet o mało nie przyszło do zupełnego zerwania z jej strony, a to z następującego powodu:

P. Aleksander nie tańczący zwykle, odważył się raz puścić z nią walca: większego wstydu nie na-

jadła się nigdy w życiu, bo nie mogąc w żaden sposób wpaść w takt, kręcili się jak maryonетки, a co najgorsza tancerz, pośliznąwszy się, padł jak długi, pociągając z sobą tancerkę. Z tego zrobił się taki pąsztet, że Reginka aż płakała ze złości i nie chciała patrzeć na pana Aleksandra.

Ale od czegoż concept. Państwo Bombalewscy, przy pomocy sprzymierzonych z nimi kuzynek, temu wywróceniu się spróbowali nadać zupełnie inną barwę, co im się udało do tego stopnia, że jednomyślnie uznano ów *casus fatalis* za najpomysłniejszą w świecie wróżbę i Reginka rada nie rada musiała pofolgować w swojej zaciętości.

Bądź co bądź, po kilkomiesięcznych konkurach, p. Aleksander oświadczył się uroczyście rodzicom, którzy te oświadczyły przyjęły z rozrzewnieniem.

— Tylko, jest jedna okoliczność—powiedział p. Aleksander po pierwszych wynurzeniach—panna Regina mnie nie cierpi.

— Ale cóż znowu!

— To jest fakt!—patrzeć na mnie nie może.

— Więc cóż?—rzekli oboje, nie wiedząc, do czego prowadzi.

— Mam nadzieję, że państwo dobrodzieństwo wybijecie jej z głowy ten wstręt.

— Rachuj pan na nas; zrobimy, co będziemy mogli.

— Wiecie jak ją kocham;—dodam jeszcze, że nie brak mi przymiotów na męża, mogącego uczynić żonę szczęśliwą. Łatwo będzie się mogła do mnie

przyzwyczać, a ponieważ staraniem mojem będzie żeby opływała we wszystko, więc...

Była to ulubiona forma konkluzji wszystkich rozumowań p. Aleksandra — ale państwu Bombolewskim nie potrzeba było więcej — doskonale zrozumieli owo — więc.

To też nie zwłócząc, zabrali się zaraz do córki. Jakie mieli z nią przejścia, jakich na przekonanie jej używali argumentów, to już nas w tej chwili mniej obchodzi; dosyć, że zyskali nareszcie jej przyzwolenie na zapowiedzi, które wyszły zaraz pierwszej niedzieli.

Przez pierwszy tydzień wszystko szło jako tako, lubo panna zamyslała się czasami, co zresztą łatwo dawało się usprawiedliwić; w drugim zaczęła stroić fochy, a w trzecim desperować już na dobre, przyprowadzając tem rodziców do rozpacz — aż nareszcie ostatni termin minął i ślubu nie było, bo Reginka tak cierpiała na migrenę, czy też udawała że cierpi, iż o zaprowadzeniu jej przed ołtarz mowy być nie mogło.

Zaledwie zapowiedzi straciły swoją prawomocność, panna jakby cudem przyszła do zdrowia, a nawet udobruchała się, odzyskując humor — dano więc na drugie. Zdawało się już, że filozoficznie zgadza się z swoim losem, tymczasem licho nadało, że jedna z przyjaciółek zrobiła spostrzeżenie, które bardzo trafiło do przekonania Reginki, że ślubna suknia skrajana i uszyta przez krawcową z powiatowego miasta, uchodzącej w całej okolicy za artystkę, leżała najfatalniej. Smutne to odkrycie zniweczyło wszystkie plany.

Regince ani gadać nie było można, żeby ślub brała w tej sukni. Jakto! — ona, która robi tak świetną partję (bo to już nareszcie przyznawała), ma wystąpić na swoim ślubie, jak pierwsza lepsza parafianka! — Jeszcze czego! byłoby to wystawić się na śmiech.

Na tym punkcie zacięła się, i tak rodzice, jak narzeczony pomiarkowali, że chyba tylko heroiczny środek wybawi ich z kłopotu. Na tajnej tedy naradzie pomiędzy ojcem i matką a przyszłym ich zięciem uchwalono, że państwo Bombalewscy sprowadzą dla córki (za jego naturalnie pieniądze) suknię ślubną wprost z Paryża.

Wiadomość o tem postanowieniu, udzielona Regince, nie tylko przyjętą została łaskawie, ale sprowadziła, jak za dotknięciem różdżki czarnoksiężkiej, zadziwiającą zmianę w jej usposobieniu. Wrócił jej dobry humor i o sprzeciwianiu się woli rodzicielskiej nie było już mowy.

Oczekiwano sukni, ale tymczasem termin prawomocności drugich zapowiedzi upłynął, i trzeba było dać na trzecie, o co już teraz dopominała się sama Reginka.

Nie chodziło jej już o pana Aleksandra — on, czy inny, wszystko jedno, dosyć, że wystąpi na swoim ślubie w paryzkiej sukni.

Dwa dni już tylko brakowało do terminu naznaczonego na ślub, gdy nareszcie z poczty przywieziono awizacyę na przesyłkę z Paryża.

Uroczystości tej chwili opisywać ani myślę, a gdybym powiedział, że przymierzanie sukni odłożo-

no do dnia następnego, z pewnością niktby mi nie uwierzył. Sukces był najzupełniejszym; suknia okazała się arcydziełem kunsztu krawieckiego i Regince było w niej precudownie.

Rodzice byli uszczęśliwieni, a p. Aleksander wieszował sobie pomysł, za który aż nadto został wynagrodzonym, otrzymawszy pierwszy raz od czasu swoich konkurów, pozwolenie ucałowania obu rączek narzeczonej, która, zapatrzona w zwierciadło, oddalała mu je do zupełnej dyspozycji.

Tegoż samego dnia jeszcze, przed samym wieczorem, Reginka zaproponowała matce, aby pojechały obie w bliskie sąsiedztwo do jednej z przyjaciółek, która miała być druchną na weselu. Wymagała tego (jak dowodziła) konieczność porozumienia się w kwestyi rozmaitych drobnych szczegółów weselnego stroju, a głównie (tak myślała) pochwalenia się i wylania na łono przyjaciółki całej radości, jaką czuła z posiadania paryzkiej sukni.

Pojechały więc, a po czułym pożegnaniu się z kobietami, p. Aleksander i jego przyszły teść, zasiedli z najswobodniejszą myślą do partyi szachów.

Niestety! jakże zwodniczymi są widoki i nadzieje ludzkie!

Była już noc ciemna, gdy panie wracały z owej ważnej konferencji w najlepszych humorach; wtem, dojeżdżając do wsi, spostrzegły nagle łunę jakby od pożaru, bijącą z okien panińskiego pokoiku Reginki.

Okrzyk przerażenia dobył się z ich piersi

Furman zaciął konie, które ruszyły galopem, i w mgnieniu oka powóz znalazł się przed gankiem dworu.

Reginka wyskoczyła pierwsza, wołając:

— Moja suknia paryzka! moja suknia!

A gdy lokaj wysadził z powozu wolniej poruszającą się matkę, porwała go za ramiona:

— Franciszku! na miłość Boską, ratuj moją paryzką suknię!.. wołała jak nieprzytomna—wiesz, białe kartonowe pudło... to samo, które przywiozłeś dziś z kolei... lećże, słyszysz!

Franciszek polecił w mig do pokoju, w którym przez nieostrożność panny służącej zajęły się firanki przy panińskim łóżeczku, a ogień trawił już przedmioty łatwiej zapalne. Ale uprzedził go tam już p. Aleksander, który na czele zaalarmowanej służby zalewał właśnie dogasający ogień.

Usłyszawszy rozpaczliwe wołania narzeczonej, wybiegł za chwilę z pokoju, niosąc oburącz w tryumfie wielkie białe pudło kartonowe.

Reginka odetchnęła; wielkie i głośnie „Ach“ wydobyło się z głębi jej piersi, a usteczka ułożyły się do uśmiechu, tak jak powinny zawsze uśmiechać się do każdego wybawcy.

Pan Aleksander był w uniesieniu: ta troskliwość jego narzeczonej o ślubną suknię była dlań najpomysł-

niejszą wróżbą; widział się nareszcie u celu swoich życzeń i zabiegów. Pani Bombolewska była rozrzuwnioną; nawet jej mąż, który wyszedł właśnie, przywdziałwszy szlafrok, dzielił ogólne wzruszenie. Wszyscy, pomimo świeżego przypadku byli szczęśliwi.

Jakże przedwczesną i krótkotrwałą była ta radość!

Otworzono pudło, aby ucieszyć oczy przedmiotem ogólnej troskliwości, paryzką suknią. Ale sukni nie było, chociaż autentyczność pudła nie ulegała wątpliwości; zajęły w niem jej miejsce jakieś rupiecie: kok z włosów, pończochy pozwijane do cerowania, jakieś kołnierzyki podejrzaney czystości i t. p.

Cóż więc się stało z suknią? rozpoczęto natychmiast gorączkowe poszukiwania, które przyniosły tylko to niewątpliwe przekonanie, że się spaliła.

Ale jakimże sposobem pudło ocalało? oto prostu takim, że panna służąca użyła je na swoje rupiecie, a suknię, koło której miała coś do roboty, powiesiła zamiast w szafie, tymczasowo na pawilonie łóżka, z którym też razem spaliła się.

Panna Regina była niepocieszoną; tem więcej p. Aleksander, gdy się przekonał, że całe rusztowanie jego marzeń runęło, narzeczona bowiem po stracie sukni, nawet patrzeć nań nie chciała.

Po owej smutnej katastrofie p. Aleksander przestał zupełnie bywać w domu państwa Bombolewskich, jednak jako człowiek uparty, nie dał bynajmniej za

wygraną. Jest najmocniej przekonany że prędzej czy później przyjdzie chwila, że panna Regina przebolawszy jeden i drugi zawód sercowy, nabierze rozu mu i odda mu rękę, nie żądając sukni z Paryża.

Dziwak!



## *A to się złapał!*

Humoreska.

---

Co to jest właściwie mąż pantofel?

Nazwież kto seryo tem mianem człowieka, po zwalającego się zawojować młodej, ładnej i ukochanej żonie? Wątpię bardzo; wszakże w tem niema nic 'nieprawidłowego. Rzecz naturalna, że mąż, uwielbiający żonę, otacza ją troskliwością, chucha na nią, rozpieszcza, psuje nawet — ale za to, ileż sam w tem znajduje przyjemności, rozkoszy nawet! A potem trwa to zazwyczaj tylko do pewnego czasu, bo później stosunki regulują się na podstawie wzajemnych ustępstw.

Prawdziwym pantoflem jest tylko safandula, który, będąc maltretowanym przez dokuczliwą, za-

zdrosną, a zwykle starszą lub niewiele młodszą od siebie żonę, nie czuje się zdolnym do oporu i abdykuje ze swojej władzy mężowskiej, nie z wielkiej miłości, lecz po prostu z braku energii i odwagi cywilnej.

Takim numerem był pan Kajetan Klempecki.

Żona jego, Weronika, była starszą od niego o lat parę, gdy zaś dodam, że Kajtuś, żeniąc się z nią, był starym, bo czterdziestokilkoletnim kawalerem, to łatwo każdy zrozumie, że pary tej, pomimo, że oboje byli doskonale zakonserwowani, nawet nazajutrz po ślubie, żadną miarą nie można było nazwać młodą.

Pani Weronika, idąc za pana Kajetana, była wdową po mężu, który ją krótko trzymał; zrazu więc okazywała się i dla jego następcy łagodną, jak owieczka.

Wkrótce jednak, przekonawszy się o swojej nad nim przewadze, wzięła go także w kluby, że ani się spostrzegł, jak i kiedy z pana domu stał się najpokorniejszym służką swojej żony. Ponieważ jednak liczył się do tych niezaradnych organizmów, które nie potrafią się obejść bez czyjejs nad sobą opieki, więc kontent był bardzo, że nie potrzebuje myśleć o pracy na chleb powszedni i byłby z tego stanu rzeczy najzupełniej zadowolony, gdyby nie tygrysie zaiste, a co raz to częstsze wybuchy zazdrości małżonki.

Nie twierdzę, żeby Kajtuś zasługiwał na nie brakiem przywiązania do żony i zaniedbywania jej. Przeciwnie. Pomimo swych latek, jejmość była jeszcze o tyle przystojną, że żeniąc się z nią, nie potrze-

bował zwalczać wstręt; oprócz tego zanadto cenił dobrobyt, do którego doszedł dzięki swemu ożenieniu, żeby nie był przykładnym małżonkiem.

Był więc ani lepszym, ani gorszym od przeciętnych mężów, bo ośmielał się twierdzić, że oprócz wyjątków, które trafiają się wszędzie, każde małżeństwo kocha się. Nie kocha się, rzecz prosta, tą miłością, której jedno i drugie doświadczało kiedyś przelotnie, ale przywiązaniem, które jest nieskończenie lepszym od niej.

Jeżeli się nie mylę, ktoś gdzieś powiedział, że małżeństwo jest grobem miłości — i powiedział rzecz mądrą; ale nie pamiętam, czy dodał, że na tym grobie wyrasta coś doskonalszego, to jest przywiązanie. Żądać, wraz z niedowarzonymi małżeństwami, aby miłość, którą opiewają poeci, trwała wiecznie, jest to żądać od kwiatka majowego, aby kwitł przez wszystkie pory roku.

Miłość, przez którą każdy przechodzi, ale w której nikt, jak świat światem, nie wytrwał, jest chorobą taką samą, jak ząbki u dziecka; przywiązanie — zdrowiem w całym znaczeniu tego wyrazu. Wytwarza je wspólność interesów, nałóg wreszcie, a przede wszystkim wspólne potomstwo. Dzieci są najlepszym cementem, spajającym z sobą parę małżeńską.

Otóż, przeciętne pary są do siebie przywiązane, to jest kochają się i żyją zgodnie; a jeżeli trafiają się pomiędzy nimi swary i sceny tak zwane małżeńskie, jest to rzecz tak konieczna, jak konieczną jest przy-

prawa do potrawy, sól do mięsa. Inaczej życieby nie smakowało. Czy widział kto niebo wiecznie pogodne?

Nie byłem nigdy w życiu w zachwalonym pod tym względem Neapolu, ale wiem, że i tam czasami deszcz pada. Za to, jakże to rozkosz ładny dzień po burzy! Jak on cię mile wita, jak się nim człowiek rozkoszuje!

Podobnież dzieje się w małżeństwie: nigdy tak nie smakuje zgoda, jak po swarach, a przypieczętowanie jej przypomina najśłodsze chwile miodowych miesięcy.

Ale wróćmy do toku opowiadania.

Zabawnem było poznanie się i skojarzenie naszej pary.

Pan Kajetan, próżniak „in summo gradu“ był rezydentem na wsi u jednego ze swoich kuzynów; nie miał własnego majątku, bo małą sumkę, jaką był kiedyś odziedziczył po rodzicach, przejadł, szukając odpowiedniej dzierżawy, sam nie wiedział kiedy; pani Weronika była zaś ciepłą wdówką, właścicielką niezłej wioski.

Traf zrządził, że jednocześnie, nie wiadcząc o sobie i nie znając się dotychczas wcale, znaleźli się w Warszawie. Kajtuś z kuzynem swoim stanął w hotelu Niemieckim na Długiej ulicy, pani Weronika zaś w Polskim, który, jak wiadomo, sąsiaduje z tamtym.

Jednego wieczoru dość późno, bo około godziny dwunastej, wdówka, wracając z herbaty; na którą była proszona do znajomych, dorożkarzowi, który ją

odwoził, kazala jechać na Długą ulicę; ten stanął przed Hotelem Niemieckim, zamiast przed Polskim.

Pani Weronika, nie znając dobrze Warszawy, wysiadła i odprowadziła dryndę, zadzwoniła u bramy. Wpuścił ją zastępujący w nocy portiera stróż, od którego niepotrzebowała żądać klucza, bo została w numerze służącą—i poszła na górę. Ale tu nie mogła się zorientować; chodziła więc od drzwi do drzwi, nie umiejąc znaleźć swojego numeru i zaczynając się domyślać, że zabłądziła.

Wtem na korytarzu spotkała się z panem Kajetanem, który właśnie wracał także z miasta. Spostrzegłszy damę okazałej powierzchowności i do tego nieszpętną, zdającą się być w jakimś kłopotcie, ukłonił się jej z uszanowaniem i zapytał:

— Czy pani dobrodzika czego szuka?

— Panie dobrodzieju—odrzekła dama—co to za hotel? Zdaje mi się, że się omyliłam.

— Hotel Niemiecki, pani dobrodziko.

— O Boże! A ja stoję w Polskim! Czy to daleko ztąd?

— Tuż obok; ale dla kobiety samej, zwłaszcza o tej porze, to zawsze... Jeżeli pani dobrodzika pozwoli, to ją odprowadzę; jestem Kajetan Klempecki z Sieradzkiego.

Dama naturalnie przyjęła, a jakkolwiek przestrzeń pomiędzy dwoma hotelami jest bardzo niewielka, zanim ją przebyli, pan Kajetan miał czas dowiedzieć się, że pani Weronika jest wdówką i wła-

ścicielką wsi, ona zaś, że ma do czynienia z kawalerem, a nadto, jak mogła zauważyć przy blasku latarni, oświetlających bramę hotelu, chłopcem przy stojnym i dobrze zakonserwowanym.

Reszta załatwiła się sama przez się.

Nazajutrz pan Kajetan złożył wizytę, dowiadując się o szanowne zdrowie, mogące być zakłócone przez wypadek tak drastyczny—nie upłynął zaś kwartał, gdy dozgonne śluby połączyły ich z sobą.

Osiadłszy na żoninym chlebie, pan Kajetan znalazł się niby w siódmym niebie; jadł, pił, polował lub czytał romanse, które brano z czytelnicy, znajdując się w powiatowym mieście, a w przerwach udawał, iż się trudni gospodarstwem.

Żonusia obdarzyła go zrazu całem zaufaniem i oddała mu rządy domowe, a nawet kasę, niebawem jednak spostrzegła, że jeżeli posiadał zalety jako mąż, to jako głowa domu był zupełnie do niczego, więc potroszczku zaczęła przykrócić mu cugli.

Z początku prowadzili życie niemal sielankowe.

Odgrywały się między nimi [takie na przykład sceny.

Siedzą oboje naprzeciwko siebie, oko w oko; pani zwija na kłębek bawełnę, do której ręce panowe służą za motowidło; oczy pani przybierają potrochu wyraz omdlewający, nareszcie przenosi je na bawełnę, rachuje pasemka i zapytuje męża:

— Zgadnij, ile pasemek już zwinęłam?

— Zkądże ja mogę zgadnąć?

— No, jak ci się zdaje?

— Mnie się zdaje, że Bóg wie ile, bo mi już ręce ścierpły.

— Przykrzy ci się? brzydkii!... No, ale skoroś zmęczony, to odpocznij.

I siadali odpoczywać dłoń w dłoń, głowami przytuleni do siebie; ale przy takich odpoczynkach Kajtuś zazwyczaj dostawał klapsa, bo nie umiał odpoczywać spokojnie: dla niego marzenie nie zastępowało nigdy rzeczywistości.

Ten klaps jednak nie dowodził koniecznie, żeby pani tak bardzo znowu była rozgniewaną.

Karciła jego wybryki, mówiąc:

— Ach! jak ty mało jesteś idealny!

Spojrzenie jednak, jakim nań rzuciła jednocześnie, było pełne przebaczenia.

Ale takie sielanki trwały zaledwie parę miesięcy.

Niezadługo rozpoczęły się sceny w innym rodzaju!

Oto jedna z nich:

Do miasta powiatowego przybyła trupa wędrownych aktorów. Pan wybierał się na przedstawienie, kołysany nadzieją zobaczenia zbliżających się aktorek; pani także miała ochotę być w teatrze, ale maskowała ją i udawała obojętność, w nadziei, że mąż będzie ją prosił, jak o wielką łaskę, żeby z nim pojechała.

Tymczasem pan Kajetan zapytał się tylko króciutko, dla formy, bo co prawda, z powodu owych aktorek, wołał jechać sam:

— Cóż? czy ty jedziesz także, żonusi?

— Jeżeli życzyś sobie koniecznie... — odrzekła z poddaniem się.

— Ale jak chcesz, moja droga.

— To tak prosisz? Wszystko ci jedno, czy pojedę, czy nie?

— Zostawiam ci do woli.

— Wołałabym, żebyś sobie życzył, abyśmy razem pojechali.

— No; więc życzę sobie — rzekł pan Kajetan zniecierpliwiony.

Łatwo było powiedzieć: „życzę sobie.“ Kobieta, gdy na ten tor naprowadzi rozmowę, to nie na to, by załatwić kwestyę w sposób polubowny.

Następstwem tego była scena, po której mąż musiał przeproszać żonę, ale ponieważ dostała spazmów, zmuszony był wyrzec się nadziei zobaczenia zbliśka aktorek i zostać w domu.

Ale tak bagatelne przymówki dobre były tylko na początek; później można było usłyszeć taki naprzykład niedelikatny z ust żony zarzut, gdy mąż w przystępie czułości okazywał chęć popieszczenia lub tylko pocałowania żony:

— Jak tylko czujesz u mnie pieniądze, to zaraz czułości.

Słowa te dowodziły, że małżonek stracił zupełnie u niej wiarę i że mu odebrała klucze od kasy.

— Ach! jak ten człowiek kłamie! — mówiła dalej — czy ty mi powiedziałaś choć raz prawdę? Okłamujeś mnie nie tylko ustami, ale i oczami, jak w tej chwili.

— Cóż ja kłamię w tej chwili?

— Kłamiesz, bo ci chodzi nie o pocałowanie: ale o kilka rubli na jaki wydatek, który może ubliżyć mnie i tobie.

— Ale żeby mnie Bóg ciężko skarał...

— O, zaklinaj się; zaklinaj!... gub duszę!... Niegodziwy!.. Albo onegdaj: pisałeś list do kogoś, a nie mi o tem nie mówiłeś.

— Pisałem list? Nieprawda! Któż ci o tem powiedział?

— Poznałam po świeżych znakach na bibule. Masz takie grube pismo, że przeczytałam w lustrze parę wyrazów, których znaczenia nie rozumiem.

— Pisałem do Warszawy w moim osobistym interesie — odrzekł Kajtuś, widząc, że nie ma co się zapierać.

— Widzisz! A powiedziałaś, że nieprawda. I do kogo? po co? Czemużeś nie pokazał tego listu? Miałam prawo przeczytać, a ty obowiązek pokazania mi.

Na takie „dictum“ brał czapkę na głowę, dubeltówkę z kąta i umykał w pole. Mógł był powiedzieć, że mężczyzna ma szerszy horyzont zajęć i obowiązków, aniżeli kobieta; że jej ciekawość jest niewczesna i t. d.

Ale na to Kajtuś miał za mało energii, a właści-

wie nie posiadał jej wcale; zresztą, Bogiem a prawdą, nie miał żadnych horyzontów.

On pisał poprostu do jednego z przyjaciół z prośbą o pożyczenie mu kilkudziesięciu [rubli — i jakże miał się do tego przynąć?

Po takich zajściach jejmość chodziła milcząca przez dni kilka, nie odzywając się do męża ani słówkiem, co go więcej gnębiło, niż najgwałtowniejsze sceny.

Raz, po trzech latach pożycia, w dzień jego imienin, będąc w podobnem usposobieniu, nie powinszowała mu wcale.

Kajtuś chodził jak struty, nareszcie ku wieczorowi zrobił jej delikatną o to wymówkę:

— Nie wiedziałam, że ci o to chodziło — odrzekła lodowatym tonem.

— Jakto? — nie domyślałaś się, jak mi to było przykro?

Jakoś zmięła i nastąpiły przeprosiny. Ale podobne sceny powtarzały się coraz częściej. Były one dotychczas następstwem jedynie tylko kaprysu i pretensyi urojonych; przysła jednakże chwila, że je można było istotnie czemś upozorować, zyskały pewną realną podstawę.

I oto, jak do tego przyszło.

Razu pewnego, na zebraniu w sąiedztwie, rozmawiano w męzkim gronie o tem i owem, a naostatku, jak to zwykle bywa, o kobietach. — Zgadało się wreszcie o zazdrości żon.

Kajtuś miał co słuchać, bo znanym był już z tego, że żona prowadziła go na pasku.

Ponieważ nic na świecie, chociażby było robione w największym sekrecie, nie ujdzie ciekawego oka ludzi, więc też i o nim wiadano, że często bez interesu zamawia się do miasteczka po to, aby popatrzeć w oczy (niczem więcej, jako żywo, nie zgrzeszył) przystojnej oberżystce, do której mimowoli poczuł pewną inklinację.

Prześladowano go więc na tym punkcie, przepowiadając w sposób żartobliwy, że to może się skończyć dlań bardzo smutnie.

Pan Kajetan zmieszał się okropnie, ale nadraabiając miną, wymyślił naprędce historję (ani się człowiek spodzieje, jak czasem baka utnie), jakoby owa oberżystka była niegdyś służącą u jego żony, a nawet jej faworytką i że jeżeli kiedy, przyjechawszy do miasta, rozmawia z nią, to zawsze z polecenia żony.

Nie wiedzieć jakim sposobem, prawdopodobnie przez czyjąś złośliwość, doszła ta historyjka do uszu pani Kajetanowej, która owej kobiety nie znała, a nawet na oczy nigdy jej widziała.

Można sobie wyobrazić, przez jakie tortury z tego powodu musiał przechodzić w domu biedny Kajtuś.

Nie pomagały najuroczystsze zakłęcia, że powiedział tę bajkę, ot, tak sobie, jak to w męzkim towarzystwie, aby się uwolnić od niezasłużonych prześladowań.

Nie uwzględniono żadnych okoliczności łago-

dzących; nazwano go obrzydliwym kłamcą, człowiekiem bez zasad, wreszcie cynikiem, nie wahającym się profanować, w nieprzyzwoitej, wpośród męzkiego grona, rozmowie, stosunków, małżeńskiego pożycia, które powinny być świętą i nietykalną tajemnicą.

Przypisywano mu Bóg wie co, na tej podstawie, że dla człowieka tak lekkich zasad niema nic świętego.

Po tem fatalnem zajściu, horyzont małżeński państwa Kajetanostwa, zachmurzył się na bardzo długo, a jeżeli zmienną koleją wypadków zajaśniał na nim jakiś błady promyczek słońca, to, niestety, tylko przelotnie.

Jednego razu, w czasie takiego chwilowego pojednania, jako szczególny dowód laski i zaufania, Kajtuś, po długich ceregielach, otrzymał od żony pozwolenie udania się w pewnym interesie prawnym do Warszawy, z tem wyraźnem zastrzeżeniem, że nie wolno mu bawić dłużej, jak dni parę, najwięcej czterech, bo tyle wystarczało aż nadto do rozmówienia się i naradzenia z adwokatem.

Zdawało mu się, że dokonał pracy herkulesowej, gdy zdołał nareszcie przekonać jejmość, że potrafi załatwić sam sprawę pomyślnie i nie będzie się lampartował. Serce mu się rwało do tej podróży, to też, uzyskawszy pozwolenie, odżył, nie umiejąc dobrze zamaskować swojej radości pozorem smutku z chwilowego rozłączenia, jaki należało mu udawać.

Żona zato była niespokojną, w sercu czuła ja-

kąś obawę i badała z pod oka oblicze męża, usiłując wyczytać, czy na niem nie maluje się coś podejrzanego.

Prowadząc pilnie te badania, w samą wilię rozłączenia się, zauważyła, że mąż coś pisał sekretnie, podczas, gdy była w ogrodzie, bo gdy wracała ztamtąd, spostrzegła przez okno, że schował śpiesznie jakiś, jak jej się zdawało, list pomiędzy papiery, leżące na biurku.

Palila ją ciekawość poznania tajemnicy, ale udawała obojętną, ażeby uspić jego czujność.

Ale cóż! Napisze i schowa tak, że ona pisma nie znajdzie; trzeba było natychmiast wymyślić jakiś środek.

Jako kobieta pomysłowa, myślała niedługo. Po chwili wpadła nagle do pokoju, wołając:

— Mężu! jastrząb nad kurnikami!... Weź prędko dubeltówkę!

Kajtuś, którego żyłkę myśliwską znała dobrze, bez żadnego podejrzenia, ani złego przeczucia, zerwał się od biurka, pochwycił strzelbę, która stała w kącie zawsze nabita i wybiegł na podwórze szukać jastrzębia.

Zaledwie wyszedł, pani Weronika rzuciła się, jak ten sam jastrząb, do którego interwenyji się uciekla, na papiery, wśród których znalazła natychmiast list, w kopercie niezapieczętowanej; na tej kopercie ręką męża wypisane było: „Wielmożna pani Weronika Klempecka, najukochańsza żona, w Wólce przez Piotrków.“

Co to jest? On pisze do niej? Serce w niej za-

biło jakimś złem przeczuciem. Gorączkowo wydobyła list z koperty i zaczęła czytać:

Najprzód u góry była data: „Warszawa, dnia 5 maja.“

— Co to znaczy—pomyślała—dziś mamy dopiero 1-go; cóż to za list?

Oto, co ów list zawierał:

„Sercem najukochańsza żonusi.

Z wielkim bólem serca donoszę ci, że muszę tu zabawić jeszcze kilka dni. Adwokata nie zastałem, bo wyjeżdżał na wieś, wrócił dopiero wczoraj, ale się z nim jeszcze nie widziałem, bo miał pilną sprawę. Nie uwierzysz, jak mi tęskno bez ciebie, ale cóż robić, kiedy tego interesu wymagają. Nie opisuję ci, jak się nudziłem przez te kilka dni, nie mając nic do roboty; całą moją pociechą było przenosić się sercem do Wólki i myśleć o tobie! Jak tylko się załatwię z adwokatem, wrócę ptakiem do mojej najdroższej żonusi, której każdy paluszek z osobna całuję po tysiąc razy.

Sercem najukochańszy twój mąż

Kajetan.“

Czytając ten list, pani Weronika naprzemian czerwieniła się i bladła, a po przeczytaniu zacisnęła zęby i schowawszy list za gors, wyszła, jak gdyby nagle, na podwórze, gdzie mąż, zaczajony pod kurnikiem, upatrywał napróżno jastrzębia.

Przeszła mimo niego, nie przemówiwszy ani słówka, rzuciła nań tylko spojrzenie tak ironiczne, i pełne majestatycznej wzdargi, że w biednym Kajtusi mimowolnie zakolało serce.

Jejmość nie zatrzymała się, poszła dalej do obory i gumien i tam pozostała.

Jegomość, zapomniawszy o jastrzębiu, wrócił do pokoju bardzo niespokojny; spojrzał na przygotowania do jutrzejszej swojej podróży takim okiem, jakby patrzył na smutne szczątki [rozwianych różowych nadziei. Czuł, że już nie pojedzie do Warszawy. Ale dlaczego? co się stało nowego? Wtem przypomniał sobie swój list.

Rzucił się do papierów, pomiędzy któremi go ukrył, przewracał je gorączkowo, ale nie znalazł, i dopiero zrozumiał wszystko.

Złapał się fatalnie! Dobił się na śmierć w opinii żony.

Jaka atmosfera zapanaowała w domu po tem zdarzeniu, niech sobie wyśpiewa! domyślny czytelnik, podłożywszy tekst przytoczonego listu pod najżałośniejszy marsz pogrzebowy.

Jejmość milczała, jak skamieniała: takie same milczenie zachowywał i jegomość. Żadne z nich nie miało tyle rozsądku, żeby je przerwać i zagodzić nieporozumienie. Ale oprócz rozsądku, trzeba było jeszcze u niej więcej serca, niż czułościowości, a u niego odwagi i męskiej energii.

Prawda i to, że w takim razie podobna sytuacja w jakiej się znaleźli, byłaby niemożliwą, tak samo, jak niemożliwą byłaby z jego strony myśl napisania podobnego listu.

O podróży, naturalnie, na razie nie było mowy.

Pojechali później oboje, bo pomimo braku ochoty u małżonka, jejmość nie chciała zostawić go w domu samego.

I tak się wlokło tej parze życie nieznośne dzień za dniem; pomimo to jednak żadne z nich nie pomyślało o rozłączeniu się. Pani Weronika przywiązana była do małżonka po swojemu, to jest egoistycznie, zasypując go wybuchami zazdrości; on zaś przywykł w końcu do jej kurateli. Zresztą, gdzieżby się udał? coby zrobił ze sobą, on, próżniak i idyota?

Więc jadł, spał, polował i czytał romanse, a czasem filozofował w tym rodzaju naprzykład:

— Szekspir [podobno, czy któryś autor powiedział: „O kobiety! kobiety!“... i... miał [poniekąd rację.



## Nieboszczyk.

*Obrazek z prawdziwego zdarzenia.*

Lubiłem bardzo tego staruszka. Siwy jak gołębek, miał lat coś około ośmdziesięciu, choć się do nich nie przyznawał. Niechętnie mówił o swoim wieku. Zagadnięty w tej materii zwykł był odpowiadać:

— Zdrów jestem, dajcie mi pokój. Ile mam, to mam; dość, że jak mi się widzi, żaden z was moich lat nie doczeka. Wy teraz wszystko robicie, jak na parowej maszynie—takie też i wasze życie.

Zwał się Jan Kublicki, a mieszkał w małej oficynie jednego z niepokąźnych dworków „nad Rudawą”.—Byłem raz w tem jego mieszkaniu. Zajmował dwa małe pokoiki, w których sprzęt był niemal ubogi, ale schludny i czystutki, i biedy znać tam nie było.

Miał podobno jakiś kapitalik, od którego procent wystarczał mu na skromne utrzymanie; nikt jednak nie wiedział nic pewnego. Byli tacy, którzy pletli, że dusi grosze i siedzi na workach z pieniędzmi, ale niktby na to nie przysiągł. Dosyć, że od nikogo nic nie potrzebował. Owszem, nieraz zdobywał się nawet dla kogoś na skromny prezencik, jak na przykład dla dzieci p. Marcina Kopytkiewicza, którego dom upodobał sobie jakoś nad inne i częstym w nim bywał gościem.

P. Marcin nie odplacał mu się wzajemnością; wprawdzie u siebie tolerował go, a ślawet zdobywał się na powierzchowne oznaki czułości, skłoniony snad do tego przypuszczeniami o świetnej sytuacji majątkowej staruszka, których, jak się raz wygadał, był tajemnym wyznawcą; prawdopodobnie chodziło mu o wykrycie owego domniemanego kapitaliku i przeniesienia go na swoją kamieniczkę na Kleparzu. Sam przecież nie odwiedzał go; był „nad Rudawą“ wszystkiego raz, albo najwięcej parę razy, czego starowi na nie brał bynajmniej za złe panu Marcinowi. Gdzieżjemu, właścicielowi realności i kandydatowi na radcę miejskiego, fatygować się z wizytami do figury tak mało znaczącej i to jeszcze mieszkającej w takim zakazanym zakątku jak „nad Rudawą“. Wszakże to na drugim końcu miasta! Z Kleparza kawał Niemaly.

Staruszka знаła dobrze całą dzielnicę „Nowego Świata“ i „Smoleńska, lubił bowiem przechadzać się po plantach na przestrzeni pomiędzy „Wawelem“

a „Collegium novum“; regularnie przez rok cały można było spotkać go tam o pewnych godzinach, a latem i jesienią rad siadywał na jednej z ławek w pobliżu „Grażyny“, gdzie zwykły zbierać się matki i nianki z dziatwą, dla której miewał zawsze w kieszeni karmelki, albo kolorowe cukierki angielskie. Dalej zapuszczał się wtedy chyba, gdy szedł na Kleparz w odwiedzinę do pana Marcina.

Raz, jakoś pod jesień, zniknął nam nagle z horyzontu, nie pokazując się wcale w miejscach, gdzie zwykle można go było spotkać. Zauważyłem to po niejakiem czasie dopiero; zaintrygowało mnie to tem bardziej, że zapytywany o niego raz p. Marcin, którego spotkałem na ulicy, nie umiał mnie objaśnić na razie; przyrzekł mi tylko, że się dowie.

Tak rzeczy stały, gdy razu jednego spostrzegłem na rogu ulicy skromną kartę żalobną, oznajmującą, iż zeszedł z tego świata ś. p. Jan Kublicki, którego pogrzeb odbędzie się jutro z kostnicy szpitala św. Łazarza.

Więc umarł w szpitalu! Biedny starowina! nie miał go kto doglądać w domu. Mój Boże! jak smutną jest starość dla człowieka osamotnionego! Jakież były ostatnie jego chwile?

Ale pomyślałem sobie, że może p. Marcin wie coś o tem, a nawet, że to on, zająwszy się pogrzebem, kazał wydrukować klepsydre.

Postanowiłem przeto dowiedzieć się bliższych szczegółów, i w tym celu zwróciłem kroki ku kamienicy pana Marcina, gdy na raz spotkałem jego

samego, idącego spiesznie i mającego minę bardzo zaferowaną.—Wytłómaczyłem to sobie łatwo kłopotami, nieodłącznymi od zajęcia się pogrzebem.

Nie widział mnie, trzeba było więc samemu go zaczepić. Zajęty moją myślą, przystąpiłem do rzeczy bez wstępu.

— Jak się pan masz?—rzekłem — cóż mu było? na co umarł?

— Kto taki?

— Kublicki.

— Jaki Kublicki?

— No, pan Jan, ten z nad Rudawy, pański przyjaciel.

— A! umarł? kiedyż?

— Jakto, nie wiesz pan?

— Pierwsze słyszę.

— Umarł w szpitalu, jutro pogrzeb.

— O!—rzekł pan Marcin, tonem konwencyonalnego ubolewania — dziwno mi też było, że tak dawno go nie widziałem. Dzieci dopytywały się już o niego.

— Więc pan się nie dowiadywałeś w jego mieszkaniu?

— Nie miałem czasu. Pan wiesz, że teraz wybory do Rady miejskiej.

— Będziesz pan na pogrzebie?

— No, naturalnie.

Z tem rozstaliśmy się, bo panu Marcinowi spieszyło się.

Nazajutrz, o godzinie wymienionej na karcie pogrzebowej, stawilem się w kostnicy. Ludzi była

garstka maleńka a wśród nich napróżno szukałem pana Marcina. Nie było go.

Chciałem zobaczyć jeszcze nieboszczyka, ale trumna, skromna bardzo, była już zabita.

Ceremonie żałobne nie zabrały wiele czasu. Dwukonny karawan stał już przed kostnicą; wyniesiono trumnę i niebawem kondukt był gotów.

Ale idąc za nim, jakże zostałem zdziwiony, gdy oko w oko spotkałem się z żywym panem Janem.

Dziwnego doznałem wrażenia i muszę się przyznać, że, nim zdążyłem się opamiętać, lekki dreszczyk mimowoli przebiegł mi po skórze. Ależ bo zdarzenie było niezwykle; ten sam człowiek, na którego pogrzeb przybyłem, stał przedemną we własnej swojej osobie!

Powitał mnie przyjaźnie.

— Cóż pan tu porabiasz?—zapytał, ściskając mi rękę.—Znałeś tego Kublickiego?

— Nie znałem wcale. Myślałem, że to pan.

— A! myślałeś, że to ja, i przyszedłeś?—Pocziwy! więc tybyś przyszedł na mój pogrzeb, gdybym naprawdę umarł?

— Czyż pan potrzebujesz się pytać! toż to rzecz naturalna. Alboż nie jesteśmy znajomymi?

— Tak, znajomi tylko, bo nie żyliśmy z sobą, bliżej, a jednak przyszedłeś, aby mi oddać ostatnią posługę.—Pocziwy!

A potem dodał, oglądając się w koło:

— Widzisz! a jednak Marcina nie ma, mógł przecie tak samo, jak ty, być wprowadzonym w błąd, przeczytawszy na karcie moje imię i nazwisko.

— Zapewne wcale jej nie widział—rzekłem, zatajając prawdę, aby nie martwić staruszka — inaczej byłby przecie przyszedł.

— Prawda! rzekł, uwierzywszy—oddać bliźniemu ostatnią chrześcijańską posługę, to obowiązek każdego.

Wziął mnie pod rękę i poszliśmy za konduktem aż na sam cmentarz. Przez drogę opowiedział mi, jak przed kilku tygodniami zmuszony był wyjechać nagle w pilnej sprawie do rodziny i jak wróciwszy wczoraj właśnie, wyczytał przypadkiem na karcie pogrzebowej swoje imię i nazwisko. Nie wiedział wcale, co to za jeden był ten nieboszczyk, nazywający się tak samo, jak on, ale pomyślał sobie, że trzeba iść na pogrzeb imiennika. Był ze mną nadzwyczaj serdeczny, rozgadał się i co chwila powtarzał:

— Poczciwy! tobyś ty poszedł na mój pogrzeb!

Wdzięczność ta ujęła mnie bardzo, to też nie wymawiałem się bynajmniej, gdy po skończeniu ceremonii proponował mi, abym mu zrobił tę przysługę, i pozwolił zaprosić się na stary miodek, którego, jak mówił, miał parę butelek, schowanych na wielkie uroczystości.

— Tak! na wielkie uroczystości!—zakonkludował—a czyż może być dla mnie większa, jak przekonanie się, że jest na świecie ktoś taki poczciwy, co przyszedł na mój pogrzeb, nie będąc nawet pewnym, że to ja.

Prosto tedy z cmentarza poszliśmy nad Rudawę, do mieszkania pana Jana, który, natychmiast po przy-

byciu, wydobyl z pieca butelczynę z owym miodkiem i dwie lampeczki, które napełnił z miną uroczystą.

Ale zaledwie, trąciwszy się, pokosztowaliśmy wybornego trunku, spostrzegliśmy przez okno—kogo? pana Marcina, który, wszedłszy na podwórko, oddzielające oficynę, zamieszkiwaną przez staruszka, od głównego dworku, rozglądał się ciekawie. Zdawał się być zdziwiony spokojem, jaki tu panował i widocznie szukał oczyma kogoś, kogoby mógł wypytać się o to, co chciał wiedzieć.

Zrozumiałem, że chodzi mu nie o pana Jana, który w jego przekonaniu był już nieboszczykiem, tylko o okoliczności, towarzyszące jego ostatnim chwilom, a pośrednio o zachwycenie jakiegoś języka w sprawie jego pozostałości.

Staruszek zaledwie go zobaczył, zawołał do mnie:

— Patrz, patrz!—i przylepił twarz do szyby.

Gość, zwrócony właśnie ku oknu, spostrzegł go zbladł i cofnął się machinalnie o parę kroków. Widocznie miał ochotę uciekać, ale w tej chwili pan Jan wypadł do sieni, aby go powitać.

Pośpieszyłem za nim i byłem świadkiem spotkania

Pan Marcin potrzebował czasu, aby ochłonąć i zorientować się; dopiero więc po pewnej chwili, nie kwapiąc się z uściskiem, do którego zapraszały go roztwarte ramiona staruszka, wybełkotał:

— Pan żyjesz!

W tym wykrzykniku zdawała się brzmieć jakby pretensya, a przynajmniej zawiedziona nadzieja.

Oblicze pana Jana spochmurniało.

— Jakto! albożes pan myślał, żem umarł?—zapytał gościa, wlepiając weń niespokojne spojrzenie.

Gość usiłował nadrobić rezonem, ale mimoweli poplątał się.

— Hm!—odrzekł — przeczytałem na karcie pogrzebowej pańskie nazwisko i byłem tego przekonania, że...

— Byłeś tego przekonania, żem naprawdę zadarł nogi—przerwał żywo staruszek — i nie przyszedłeś na mój pogrzeb! Otóż to przyjaciel!

Słowa te wymówione były w tonie tak żalonym, że aż mi go się żal zrobiło.

— Ależ ja nie wierzyłem ani na chwilę, żeby to o pana była mowa—bronił się pan Marcin.

Pan Jan machnął ręką.

— Żeby tak było—rzekł — nie byłbyś się mnie zląkł, jak upiora.

A potem dodał, klepiąc pana Marcina po ramieniu i obracając to wszystko w żart:

— Tak, tak, dla ciebie jestem upiorem, próżnobyś się wypierał. Chyba tem jednym przekonasz mnie, że tak nie jest, jeżeli wstąpisz do mnie na szklaneczkę miodu, którym właśnie delektujemy się. Tego mi przecie nie odmówisz.

Pan Marcin nie mógł odmówić wszedł z nami do oficynki, ale z miną niezmiernie zaambarasowaną. Sam nie wiedział, jak się zachować i w jakim tonie prowadzić rozmowę.

To też wypiszy lampeczkę dla ceremonii, po-

żegnał nas, wymówiwszy się brakiem czasu z powodu wyborów.

Wysączyliśmy we dwóch resztę butelczyny. Miodek poprawił nieco humor staruszka; wzdychał jednak jeszcze niekiedy i całował mnie, powtarzając:

— Ty będziesz na moim pogrzebie, prawda?

— Nie życzę sobie doczekać tego — odpowiedziałem.

— Doczekasz, doczekasz, prędzej może, niż myślisz. Co mnie już po życiu!

Biedaczysko przepowiedział sobie.

Niezadługo, niespełna w rok potem, w towarzystwie nielicznego gronka, odprowadziłem go z tej samej oficynki nad Rudawą, na miejsce wiecznego spoczynku.

Pana Marcina i tą razą brakowało, a byłbym dał wiele, żeby był. Zdawało mi się, że nieboszczykowi lżejby było odbywać podróż pośmiertną.

Ale egoiści unikają ile możliwości pogrzebów; psują im one humor.

## *Powitanie dziedzica.*

---

Przypadkowi podróżni, wraz z całą gawiedzią, zgromadzoną pewnego ładnego dnia świątecznego na stacyi Piekutówce (której nie znajdziecie w żadnym „Rozkładzie jazdy“, bo pozwoliłem sobie zmienić nazwę) mieli się na co gapić.

Na peronie stała gromadka ludu wiejskiego w świątecznych strojach; pleć męska miała dębowe gałązki przy czapkach i kapeluszach, kobiety podobnież gałązki powtykane za chustki, okręcające czepce, a dziewczęta wianki na głowach. Te ostatnie, nadto, piastowały wspólnemi siłami ogromny wieniec uwity z kwiatów i liści dębowych. Wszyscy mieli miny głupie i zaambarasowane; chłopci rozdziawiali gęby i drapali się po kudłach; dziewczęta szeptały pomiędzy sobą. Spoglądali zaś wszyscy to w stronę, z której miał nadejść pociąg, to znów w oczy jegomo-

ści, zdającego się przewodniczyć i dowodzić tym całym korowodem.

Jegomość ów, był to człowiek w podeszłym już wieku, z miną zaszuszonego bakalarza, wygolony sumiennie, we fraku staroświeckim i jakby nie na niego robionym, w wysoko zawiązanej białej chustce na na śpiczastych kołnierzykach i w starym wymiętoszonym ale starannie wygładzonym cylindrze na głowie. Przechadzał się on po peronie, krocząc poważnie, a niekiedy porozumiewając się surowem spojrzeniem z wiejską gromadką.

Z pośród obecnych, przyglądających się ze zdziwieniem temu całemu aparatowi, zbliżył się do poważnego jegomości jakiś, cieszący się widocznie jego znajomością, facet o semickich rysach, a z miny niby komiwojażer, niby kupczyk.

— Panie Ferulski, jak sze pan ma — rzekł doń poufale; a potem z zwykłą swojej rasie ciekawością dodał: — powiedz mnie pan, co znaczą te ludzie? po co oni tu tak stoją?

— Jasnie wielmożny dziedzic wraca z zagranicy — brzmiała odpowiedź — będziemy go witać.

— Pan Piekutowski? czy on będzie teraz sam gospodarował w Piekutowie?

— Rozumie się; jest już pełnoletni i skończył uniwersytet.

— A matka?

— Matka rezygnuje z zarządu majątkiem i będzie mieszkać przy nim.

— A gdzie ona teraz jest?

— Wyjechała naprzeciw syna i jedzie także.

Z tych słów dowiedzieliśmy się wiele, ale jeszcze nie wszystkiego; wypada mi więc dodać od siebie, że ów pan Ferulski był niegdyś nauczycielem domowym przy młodym Piekutowskim, któremu wykładał sztukę sylabizowania i stawiania pierwszych kulfonów na papierze. Nie trwało to długo, ale ten czas wystarczył, aby chlebobdawcy pedagoga nabrali przeświadczenia o jego zacności i uczciwości; a że i on sam przywiązał się szczerze do rodziny, pozostał więc w Piekutowie w charakterze zaufanego domownika, a zarazem jako organizator szkółki ludowej, której dotychczas w majątku tym nie było.

Wyjaśniwszy ten wzajemny stosunek Ferulskiego do Piekutowskich, wracam do rzeczy.

Niecierpliwość oczekujących na niezwykle widowisko doszła do najwyższego naprężenia, ale nareszcie ciekawość wszystkich została zaspokojoną, bo naraz dał się słyszeć świst lokomotywy, potem dzwonek na stacyi i niebawem pociąg stanął przed dworcem.

Oczy całej gawiedzi zwróciły się ku drzwiom zatrzymujących się wagonów.

Z jednego z nich wyskoczył zaraz młody i przystojny mężczyzna, podając rękę kobiecie ujmującej powierchowności, z siwiejącymi już loczkami.

Był to właśnie młody Piekutowski z matką.

Zajęty przede wszystkim nią, nie uważał młodzieniec i nie widział nic naokoło siebie, ale naraz odwrócił się zdziwiony.

Na peronie zabrzmiał śpiew.

Tę melodyę gdzieś zna. Tak, nie myli się; sly-szał ją w teatrze jeszcze za studenckich czasów. To „piosenka wujaszka“ o kotach i przepióreczce.

W tej chwili zbliża się doń z głębokim ukłonem pan Ferulski, trzymając w ręku zwój papieru prze-wiązany różową wstążeczką.

— Jak się masz, panie Ferulski — mówi mło-dzian—powiedz mi co znaczy to wycie?

— Wycie?—bąka pedagog skonfundowany.

— Na jakąż pamiątkę śpiewają tu piosnkę wu-jaszka?

— To nie jest piosenka wujaszka j. w. panie, tylko staropolska melodya, pod którą podłożyłem sło-wa kantaty, skomponowanej przezemnie na powita-nie dziedzica...

— Więc to jest kantata?

— Nie inaczej. Kantata, której wyuczyłem te dziewczęta.

I pan Ferulski, rozwijając zwój papieru, czyta:

Dziś w sercach naszych wspólna brzmi nuta

I wspólne duszą włada uczucie,

Więc myśl na prawdzie uczuć osnuta

Niech zabrzmie dziarsko w tej wdzięcznej nucie.

— Cóż za szczególniejsza myśl! — przerywa dziedzic.—Mamo!—dodaje po cichu do matki—wynoś-my się ztąd co żywo, bo nam tu, jak widzę, chcą urzą-dzić jakąś niedorzeczną owacę.

Ale pan Ferulski czuwał. Zastępuje drogę mło-demu panu, i mówi:

— Racz j. w. pan zwrócić uwagę na ostatnie dwa wiersze:

Tyś dla nas ojcem—córy i syny,  
Składają u stóp twoich wawrzyny...

W tej chwili chór urwał kantatę, a powietrze napełnił trzykrotnie powtórzony grzmiący okrzyk: wiwat! tem efektowniejszy, że zawtórował mu świst szum pary odjeżdżającego jednocześnie pociągu, z którego wszystkich okien wyglądały ciekawe oblicza.

Pasażerowie mieli czas jeszcze być świadkami, jak złożone zostały u stóp dziedzica owe wymienione w kantacie wawrzyny, w postaci trzymanego na po-gotowiu przez dziewczęta wieńca. Ponieważ niewia-domo było co z nim zrobić, bo dziedzic miał minę, że nie pozwoli go na siebie włożyć, więc zabrał go lokaj do podróżnych manatek, jakimi był obładowany.

Młodego pana irytowało to wszystko coraz wię-cej i miał ochotę zerwać cały ceremoniał, ale po-wstrzymała go matka, prosząc po cichu, aby nie robił tej przykrości pocziwemu staremu.

Wyszli więc wszyscy pontyfikalnie przez sieni dworca aż na tyły, gdzie stały powozy. Dziedzic odetchnął, ale nie był to koniec jego utrapień.

Chciał siadać do powozu, ale otoczyło go szcze-lnie całe zebrane grono z panem Ferulskim na czele,

a po za nimi dawała się widzieć jeszcze miejscowa gawiedź ciekawych.

— Cóż oni chcą jeszcze?—zapytał przestraszony dziedzic.

— Pozwól j. w. panie—rzekł poważnie bakałarz—abyś pochwalił się przed tobą owocami, jakie udało mi się wypielegnować na tych dzikich zaiste płonkach, które mi były kiedyś powierzone.

— Jaktó!... cóż to będzie?

— Małeńki egzamin... na prędcę...

— Bójże się Boga! czyż tu miejsce...

— Tu jest miejsce. j. w. panie, w którym stanąłeś po raz pierwszy stopą na swojej ziemi jako dziedzic—mówi p. Ferulski z namaszczeniem—tu więc pragnąłbym, aby mogła nastąpić inauguracja przez ciebie mojej szkoły. Jeżeli wola, naturalnie—dodaje—nie chciałbym robić przykrości j. w. panu.

Staruszka zdawała się martwić niechęć dziedzica.

Ten więc, posłuszny gościowi matki, rzekł, zdobywając się na uśmiech:

— No więc, proszę cię, panie Ferulski... popisuj się.

Pan Ferulski ożywia się i mówi:

— Przedewszystkiem z religii—poczem zapytuje jedną z dziewczynek.

— Powiedz mi Nastka, ilu jest Bogów—i podnosi na wszelki wypadek jeden palec do góry.

— Jeden jest Bóg—odpowiada dziewczynka.

— W trzech...

— W trzech osobach.

— Bardzo dobrze—i zwraca się potem w stronę chłopców, pytając:

— Jakże się te trzy osoby nazywają?

— Trójka Przenajświętsza—odzywa się prędko dwóch razem.

— Trójca nie trójka—poprawia cierpliwie profesor.—Dąskona! No, a teraz z historyi świętej. Powiedz mi Kasiu, co zrobił Noe, jak pan Bóg spuścił na świat potop?

— Zbudował... zbudował..

— Cóż zbudował? ogromną ar...

— Armatę—woła jakiś chłopak.

— Arkę—poprawia Kasia tryumfująco.

— Bardzo dobrze—mówi p. Ferulski, rzucając piorunujące spojrzenie na chłopaka. — A do tej arki cóż wprowadził, żeby gatunek nie zaginął... po parze czego?

— Zwierząt.

— I pta. .

— I ptaków.

— Wybornie.

— Ale jak on to tam wszystko mógł połapać... to heca! — odzywa się któryś z starszych chłopców, przysłuchujących się egzaminowi.

Pan Ferulski zdaje się być bardzo zgorszonym, ale tłumaczy łagodnie:

— To był cud. Wszakże objaśniałem wam nieraz, co to były cuda?

— To były takie sztuki, co święci pokazywali— odzywa się któryś z uczniów.

Pan Ferulski jest już w najwyższym stopniu zgorszonym i dotkniętym kompromitacją, jaka go spotkała z łaski uczniów. Robi taką minę jakby mu się na płacz zbierało—natomiast oblicze dziedzica się rozjaśnia; ten egzamin zaczyna go bawić i sam już z własnej inicjatywy zapytuje jedną dziewczynkę, u której spostrzegł w ręku książeczkę:

— Cóż to masz za książkę?

— To elementarz z obrazkami — odpowiada za nią p. Ferulski. — Marysia zawsze się z nim nosi; to bardzo pilna dziewczyna; zamierzam przedstawić ją do nagrody. Marysia, pokaż panu dziedzicowi, co umiesz.

I sam otwiera na chybił trafił elementarz, a wskazując palcem na jeden z obrazków, zapytuje:

— Co to jest?

Dziewczynka patrzy na podpis i sylabizuje:

— Tchórz... du...si... ku...ry...

— A to psia kość sobacza! — wykrzykuje jakiś chłopak zagapiony ciekawie na obrazek.

Tego było za nadto, i p. Ferulski wybucha:

— Racz pozwolić j. w. panie — mówi z przejęciem, zwracając się do dziedzica — abym ukarał tego hebesa za tak ordynarne odezwanie się wobec państwa.

— Darujże mu już, przez wzgląd na uroczystość chwili—rzecz dziedzic — proszę za nim.

— Uczynię zadosyć życzeniu j. w. pana, ale zrobię uwagę, że niewart tej łaski. Jestto chłopak zdolny, ale rozpustnik i próżniak; wszystkie moje nauki moralne, w których przedstawiam mu smutne następstwa próżniactwa są grochem na ścianę. Stawiam mu na przykład za wzór do naśladowania nieme stworzenie, pszczółkę. Opowiadam, jak to ona krząta się i pracuje przez cały Boży dzień... to samo mrówka... ale on wtenczas albo w nosie dłubie, albo myśli o psich figlach. Maciek! słyszałeś com mówił? powtórz: co robią pszczółka i mrówki?

— Co robią? — odpowiada chłopak, namyślając się—gryzą.

— No, dosyć już, dosyć na dziś tego egzaminu — woła dziedzic, śmiejąc się serdecznie— będziemy pracować nad tym próżniakiem, panie Ferulski, obadwa wspólnie, ale już w szkole. Teraz czas do domu, bośmy głodni.

Pan Ferulski, dawszy Maćkowi sekretne go-boska pod łopatkę, zapędza dziatwę i nakazuje szybki odwrót do wsi, dokąd było zaledwie parę staj.

Państwo wsiedli do powozu wraz z pedagogiem, który z uszanowaniem usiadł na przednim siedzeniu i konie ruszyły klusem; ale przed samym wjazdem do dworu furman zatrzymał je, bo młodego dziedzica czekała tu nowa niespodzianka.

Wznosiła się w tem miejscu wspaniała brama tryumfalna z brzeziny, choiny i świerkowych gałęzi kunsztownie zbudowana, a przy bramie stała już gromada chłopów, która pośpieszyła tu naprzód.

Gdy powóz stanął, wszyscy pozdejmowali czapki, a z pośród gromady wystąpił jeden, znany jako najbieglejszy orator na weselach. Pomimo to, śnać nie był pewnym siebie, bo drapał się po głowie z miną zakłopotaną.

— Cóż to będzie? mowa? — woła dziedzic — bójcież się Boga, daruję ją chętnie.

— Parę słówek tylko, j. w. panie — szepce pan Ferulski — sam skomponowałem i wyuczyłem go.

— Ha! niechże już i tak będzie — decyduje się dziedzic, zaciekawiony mimowoli.

Chłop, odchrząknąwszy parę razy, staje w pozycji i zaczyna:

— Oddawna już tak szczęśliwej chwili nie mieliśmy... więc napelnieni...

— Przepelnieni — odpowiada p. Ferulski.

— Przepelnieni radością i wdzięcznością za łaski j. w. dziedzica, przyszlśmy tu wszyscy, aby... aby powitać pana naszego... który się począł z ducha świętego, narodził się... o rany! a dyć ja w pacierz wpadłem.

Powstał śmiech ogólny, któremu wtórowali z całego serca oboje państwo, a dziedzic, nie zważając na skonsernowaną minę p. Ferulskiego, zawołał:

— Brawo! brawo! a to mu się udało!... no, ty masz za to papierka, a wy wszyscy przyjdźcie do dworu na poczęstne, a teraz jazda!

Po poczęstnem we dworze, pani dała gromadzie asygnacyę do karczmy na parę garncy wódki i pozwo-

liła grać muzyce, co się niezmiernie podobało dziewczętom.

Hulanka i tańce trwały do późnej nocy, prawie do białego dnia.

W całej wsi tylko pani i młody dziedzic prześpali noc snem sprawiedliwych, bo p. Ferulski, jakkolwiek nie należał do hulanki, przepędził ją bezsennie. Przewracał się tylko z boku na bok, trapiiony wspomnieniami niefortunnego egzaminu.

Tak się skończył ów dzień pamiętny, zapisany w kronikach Piekutowa i rodziny Piekutowskich.





## Święto rodzinne.

*Obrazek z życia.*

W maleńkim, ale z pewną pretensją do elegancji przystrojonym, saloniku leżała na szeslongu panna Julia, trzymając w ustach wonny papieros. Szerokie rękawy negliżu odkrywały prawie po ramię rękę białą, jakby utoczoną; paluszki, niekoniecznie arystokratycznych kształtów, ale nader starannie utrzymane, skubały niecierpliwie fałszywe koronki negliżu; czarne oczy pały.

Panna Julia była w bardzo złym humorze, bo hrabia odmówił jej właśnie jakiejś bagatelki, która zwróciła jej uwagę w oknie wystawowym u jubilera, a którą mieć koniecznie pragnęła. Właściwie nie była to taka znów bagatelka, bo trzeba było za nią zapłacić jakieś kilkadziesiąt rubli—ale co to znaczyło dla takiego hrabiego.

Niežnośny filister! bogaty, jak Krezus, a skąpy. Wprawdzie panna Julia nie wiedziała, dlaczego się mówi:—jak Krezus—ale powtarzała za ludźmi. Wyobrażała sobie, że to był jakiś żyd, zbogacony lichwiarz. Hrabia miał matkę, która trzymała w ręku cały majątek i płaciła mu tylko pensję na drobne przyjemności, bo mieszkanie i całe utrzymanie miał u niej w pałacu—ale jak na drobne przyjemności, była to podobno dosyć spora kwota. Wystarczyłaby przecie, gdyby chciał, na biżuterję dla niej za nędzne kilkadziesiąt rubli. A jeżeli chwilowo nie miał pieniędzy, to od czegoś są usługni, pożyczający na 24 procent. A choćby zapłacił więcej?—wielkie rzeczy! W każdym razie, tak czy owak, przyszły dziedzic wielkiego majątku znalazłby przecie kredyt, gdyby tylko miał szczerą i nieprzymuszoną wolę.

Ale przyszły dziedzic, jakkolwiek jeszcze prawie dzieciak, potrafił być w pewnych razach nieugiętym. Prawdziwy kutwa!—Płacił jej mieszkanie (dwa pokoiki z kuchnią), dawał na stroje (co prawda aksamitów i koronek brabanckich nie mogła sobie pozwolić), wreszcie na życie. Ale po za swój budżet nie przechrodził nigdy a nigdy, mówiąc lez ogródki, że go na to nie stać. I to się nazywa hrabia!

Panna Julia, rozpuściwszy wodze złemu humorowi, w najlepsze opłakiwała swoje nieszczęśliwe położenie, gdy w kuchence, której połowa zapomocą zaimprovizowanego przepierzenia obróconą była na przedpokój, dał się słyszeć dzwonek — a wkrótce potem zjawiła się pokojówka i zarazem kucharka, Kasia.

— Któż tam taki?—zapytuje kwaśno panna Julia—może hrabia?

— E, gdzie tam hrabia—odpowiada jeszcze kwaśniej Kasia—żeby hrabia, tobym nie potrzebowała odchodzić od garnków; przyszła jakaś jejmość.

— Co za jejmość?

— Albo ja wiem?—nie widziałam jej tu nigdy. Porządnie ubrana, ale bez kapelusza, ino odziana tustką, a w ręku ma koszyk do sprawunków.

— Czegóż ona chce?

— Powiada, że koniecznie potrzebuje się widzieć z panią.

— Poproszę ją.

Zaledwie Kasia wyszła, we drzwiach ukazała się przystojna, świeża i sympatycznie uśmiechnięta twarz młodej kobiety.

— Jak się masz, Julciu—rzekła nieśmiało.

Panna Julia patrzy i oczom nie wierzy: to jej siostra Marynia.

— To ty! — mówi zdziwiona—prędzejbym się nie wiem czego spodziewała; cóż cię tu do mnie sprowadziło?

— Przecie nie powinnaś się gniewać, że zatęskniłam za tobą — odpowiada Marynia—mój Boże, już przeszło rok, jakeśmy się nie widziały... tak to jakoś niewiedzieć po jakimu... jeszcze też teraz święta nadchodzą... za tydzień wilia... pierwsza wilia na naszym gospodarstwie... więc myślę sobie; co było, to było a przecież zawsze to ja rodzona siostra... ale, wiesz? dziecinę mamy...—powiadam ci, co to za aniołek!... Maryńcia...

tak jej na imię, jak mnie, bo Franuś koniecznie sobie tego życzył... sam jej zrobił kołyskę, ale żebyś wiedziała, co za kołyska! u państwa mogłaby stać na najparadniejszych pokojach.

Panna Julia krzywi się, usłyszawszy o Fransiu, który robi kołyski, i zagaduje.

— No więc co?—zaczęłaś coś mówić o świętach.

— A tak... bo to już za tydzień...—otóż więc przyszedłam...—widzisz, miałam cię prosić, czybys nie była łaskawa...—przyjść do nas na wilię.

— Do was! ja?... — mówi panna Julia dziwnym tonem.

— O! ja wiem — odpowiada z żywością Marynia — że po twoich pokojach nasze mieszkanko może ci się nie podobać... jedna izdebina, w której i gotować muszę...—ale wieczorem, przy świetle, to jakoś... Franuś kupił bardzo ładną lampę za rubla, a ja założyłam perkalowe firanki... a zresztą, te parę godzin, to zleczę... przynajmniej będziemy razem... jest nas dwie tylko, nie mamy więcej nikogo... ale, zobaczysz, będzie wesoło, zabawimy się doskonale... Franuś zaprosił swojego kolegę, czeladnika od tego samego majstra... biedaczysko, sam jeden, jak palec... familię ma, Bóg wie gdzie... majster prosił go do siebie na wilię, ale obiecał się do nas, bo się przyjaźnił z mężem... bardzo porządny człowiek...—zobaczysz...

Podczas szczebiotania Maryni, panna Julia robi dziwne miny: i niecierpliwi się i rusza ramionami i uśmiecha się ironicznie...

— No, jakże, przyjdziesz? — zapytuje wreszcie Marynia, po wyczerpaniu wszystkich argumentów,

— Moja droga—odpowiada Julia — nie gniewaj się, ale nie mogę; naprzód, co mnie tam obchodzą święta! u mnie święto wtenczas, jak mam pieniądze i ochotę do zabawy; a potem właśnie u siebie w wigilię będę miała gościa, który się do mnie sam zaprosił, i któremu nie mogłabym zrobić zawodu. Więc przepraszam cię.

Wszystkie zaklinania Maryni na nic się nie zdały; musiała odejść biedaczka z niczem, bardzo zmartwiona.

Słyszeliśmy, jak Marynia wymówiła słowa: co było, to było—musimy więc wyjaśnić, co takiego miałowicie było. Julka i Marynia, rodzone siostry, były córkami podrzędnego urzędniczyny z magistratu, o skromnej pensyjce, ale niezłych pobocznych akcydensikach, przywiązanych do tej posady a zależnych od jego osobistego sprytu i czynności. Póki więc żył, w domu nie było biedy, a nawet można było zauważyć pewien dobrobyt.

Ale zmieniła się postać rzeczy po jego śmierci; ponieważ matka przed mężem jeszcze przeniosła się na tamten świat, dziewczyny pozostały same na Boskiej opiece, bez funduszu, bo trochę gotówki, jaka się znalazła, wyszło na pogrzeb. Póki było co sprzedawać, bo nieboszczyk lubił mebelki, wlokło się jakoś życie, ale wkrótce źródło to wyschło. I stało się to, co się zwykle dzieje w podobnych położe-

niach. Dziewczęta młode i ładne, pozostawione bez opieki, narażone na tysiączne pokusy, znalazły się na niebezpiecznej drodze.

Starsza Julka, rozpieszczona przez ojca, którego była faworytką, pełna nieokreślonych pragnień, po długim namyśle obrała sobie zawód panny sklepowej, co było wszakże tylko zamaskowaniem rzeczywistych aspiracji. Zmieniała często miejsce, wybierając zawsze magazyny najmodniejsze i najwięcej uczęszczane przez mężczyzn; do czego zaś ostatecznie przyszło, łatwo odgadnąć, skoro widzieliśmy ją w jej własnym mieszkaniu, oddaną słodkiemu *far niente*.

Młodsza Marynia, przyuczona do pracy przez matkę, kobiecie pocziwą i prostą, poszła bez wahania w służbę za piastunkę do dzieci, z kąd wyszła za męża za uczciwego i pracowitego czeladnika stolarskiego.

I ten to właśnie krok Maryni był kamieniem obrazu dla Julii, pragnącej koniecznie poprowadzić siostrę drogą, po której sama kroczyć zaczęła, i snującej na tej podstawie świetne widoki. Nie mogła jej darować tego spospolitowania się i „sponiewierania“ i tak się zawzięła, że nie była nawet na ślubie siostry.

Ta ostatnia, pokochawszy szczerze Frapusia, nie dała się odwieść od powziętego zamiaru, ale ślub ten oplakiwała rzewnymi łzami. Nieboraczka była przekonaną w naiwności ducha, że istotnie dopuściła się kroku, który nie przystoi córce urzędnika magistratu.

Ztąd to poczucie winy względem siostry, którą, niezdolna wyobrazić sobie prawdy, uważała za coś wyższego od siebie.

Nadszedł dzień wigilijny.

W izdebce Maryni, wyświeżonej, o ile się dało, świątecznie, pachnącej niejako ładem i czystością, krętaniny było co śmiara — i nikt się temu nie będzie dziwił, boć gdziekolwiek sięga panowanie ręki kobiecej, wszędzie krętanina w dniu owym jest na porządku dziennym. Ruch ten jest tak uświęcony tradycją, tak ma w sobie coś imponującego i nieubłaganego, że szerzy popłoch w sercach najodważniejszych małżonków, którzy uchodzą z placu i chowają się przez cały dzień po dziurach i dziurkach, pewni bezkarności, bo nie zawadzali tym sposobem.

To też i Franuś, mąż naszej Maryni, nie pokazał się żonie, aż dopiero razem z zaproszonym kamratem warsztatowym, samym wieczorem. Ale też zastał wszystko gotowe.

Dziecko nakarmione piersią matczyną spało ciuchutko w kołysce; stół był nakryty na trzy osoby i oplatki przygotowane, od framużki w piecu zalatywał zapach kapusty duszonej z grzybami, postawionej tam dlatego, żeby nie wystygła, a na trzonie skwierczały smażące się na patelni trzy rybki, mające być okrasą uczyty. Mała flaszczyka wódki i dzban z piwem dopełniały przyborów stołu.

Nasze pocziwe gronko z namaszczeniem podzieliwszy się oplatkiem, z równem-że namaszczeniem,

milcząc, zasiadło do wieczerzy. Rozprawiono się już z barszczykiem i kapustą i zabierano się przypuścić szturm do rybek, przyczem usta rozwiązywały się potrosze, gdy dało się słyszeć nieśmiale pukanie do drzwi.

Wszyscy spojrzeli po sobie.

Ktoby to mógł być w dniu tym i o tej porze?

Ale nie było czasu na domysły, bo trzeba było temu komuś otworzyć.

Uczył to gospodarz domu, wstawszy niechętnie od stołu, ale aż się cofnął, gdy otworzywszy drzwi, ujrzał w nich nieznaną kobietę, gustownie ale bardzo skromnie ubraną.

Nie mogło mu się w głowie pomieścić, coby to znaczyło.

— Czegóż pani sobie życzy? — rzekł surowo niemal.

Ale Marynia, ujrawszy nieznaną, aż krzyknęła. Była to bowiem Julka.

Wprowadziła ją czempredzej do pokoju i w krótkich słowach poznawszy z mężem i jego towarzyszem, posadziła zaraz przy stole, rozpoczynając od opłatków. Nie przeszkodziło to bynajmniej nawiasowo prowadzonej indagacji, zawartej w oderwanych okrzykach.

— Dlaczegoż tak późno? Niema już barszczu, a takby ci był smakował! Ale jakżeś ty tak sama szła o tej porze? tu taka odludna ulica.

— Przyprowadziła mnie tu moja Kasia—odrzekła panua Julia.

— Gdzie ona jest? to niechże wejdzie... zje z nami, co jeszcze jest.

— Poszła na wilię do swojej matki — bąknęła Julka głosem bezdźwięcznym — przyszedł po nią brat i odprowadzili mnie oboje po drodze.

...  
Cóż się stało, że panna Julia zdecydowała się przyjść do siostry bez względu na owego gościa, który się do niej sam zaprosił na wieczór?

Odpowiedź bardzo prosta. Ów gość — a był to właśnie młody hrabia—nie przyszedł, bo, rzecz naturalna, przyjść mu w ten dzień nie wypadało; nie ośmieliłby się na takie urągowisko zwyczajom i ubliżenie powinności względem matki. Przysłał tylko parę butelek wina, bardzo ładne pieczywo i półmisek majonezu z łososia, a przytem karteczkę wyjaśniającą, że przyjść nie może, bo cały wieczór przepędzi w kole rodzinnem.

Panna Julia, chociaż ją to niemile dotknęło, zrezygnowała się. Wielkie rzeczy — pomyślała sobie—jeden wieczór przepędzić samej, albo to raz jej się tak trafiło? zje sobie dobrą kolacyjkę, chociażby z Kasią, która wprawdzie miała iść do matki, ale przecie tam majonezu, ani ciast takich nie dostanie, wypije kilka kieliszków wina i położy się wcześniej do łóżka.

Ale tak się to mówi.

Gdy Kasia ani sobie wspomnieć nie dała o tem, żeby nie miała dziś jeść wili z rodziną i miała już odejść z bratem, który przyszedł po nią, a ona, jej pa-

ni, była skazaną na to, aby zostać samą jedną w taki dzień, żal ją zdjął niezmierny, a zarazem jakiś strach zabobonny. Wszakże to dzisiejszy dzień jest prognostykiem na cały rok następny. Jakto? onaby miała zostać samą, samą jedną, jak palec, nie mając nikogo koło siebie?

Nie! nigdy! przenigdy! nie wytrzymałaby w tych czterech ścianach, nie słysząc głosu ludzkiego.

W jednej chwili była gotową i kazała się odprowadzić do siostry, która, na szczęście, odchodząc, zostawiła jej była adres na wszelki wypadek.

.....  
Jak się odbyła w dalszym ciągu uroczystość familijna u Maryni, to już do tego obrazka nie należy; czy panna Julia wyszła z niej odrodzona duchem? któż to wie? ale stać się to mogło. Przejścia tego rodzaju stanowią żywą naukę i mają niekiedy wielki a dodatni wpływ, zwłaszcza na organizmy trapiące niepokojem sumienia!

Niewolno bezkarnie pomiatać tem, co zdawna żyło się z nami, co wsiąkło w naszą krew.

## SAFANDULSKI.

HUMORESKA.

Zaginęła już podobno z kretelem rasa oryginałów, jakich dostarczała niegdyś obficie szlachta wioskowa, ustępująca powoli ze swoich stanowisk pod napływem nowych żywiołów. Wypierający ją przybysze, zwykle świeżo zubożeni profesyoniści, a nie-rzadko żydkowie, z propinatorów przedzierzgnięci w dziedziców, to także niemniej ciekawe w swoim rodzaju okazy, ale już zupełnie co innego, niż dawny oryginał szlagon, człowiek zazwyczaj z złotem sercem, a zakutą głową, ale sztuka czupurna i zawadyacka, do której, jak to mówią, nie przystępuj bez kija. Z tem wszystkiem trafiali się i safandulscy, a już jak który się udał, to mu kolki można było ciosać na głowie bezkarnie.

Jednego z takich właśnie safandulskich miałem przed kilkunastu laty w mojem sąsiedztwie, mieszkając w sanockiem. Był to stary kawaler, pan Jacek Doliwa, którego znałem tylko z widzenia i z przydomku Lisek, nadanego mu z powodu osobliwego profilu twarzy i nosa dziwnie spiczastego, co go czyniło tak podobnym do najchytrzejszego ze zwierząt, że pan Bałagulski, nasz wspólny sąsiad, uchodzący za dowcipnisia, zwykł był mawiać, że na pana Jacka puścić ogary, to go będą gonić jak lisa.

Czy to z powodu jego powierzchowności, czy też owego safandulstwa, które zakrawało już niemal na idiotyzm, pan Jacek, pomimo niezgorszej fortunki, nie miał wiele szczęścia do kobiet i został starym kawalerem, dźwigając na swoich barkach więcej, niż tuzin koszyków, jakie rozmaitemi czasy otrzymał od wybranych przez siebie kandydatek na dożgonną towarzyszkę.

Poznałem się z nim przypadkiem na wielkiem polowaniu, z którego w przystępie dobrego humoru, po sutem myśliwskim śniadaniu i mnogich libacyach, zaprosił mnie do siebie. A że było mi po drodze, skorzystałem ze sposobności, by go bliżej poznać.

Wsiadłem więc na jego bryczkę, czego niebawem pożałowałem, bo furman pana Jacka nie robił sobie z nami żadnej ceremonii, powożąc tak, jakby wioził nie ludzi, tylko słomę na podściół do stajni. Nie pominął żadnego wyboju, co zresztą nie mogło mnie dziwić, bo drzemał ustawicznie, kiwając się tak, że obawiałem się, aby nie zleciał i łba sobie nie rozbił.

Widząc, że pan Jacek nie na to nie mówi, ośmieliłem się nareszcie odezwać.

— Człowieku, bój się Boga, jak ty jedziesz!

— Tak, jak umiem... mój pan ze mnie kontent.

— Nie uważasz na wyboje.

— A bo to taka psia droga; ledwo się wyjedzie z jednej dziury, już druga gotowa.

— Ale kiedy ty ciągle śpisz.

— A bo mi się chce... Żeby mi pan dał co do gęby...

— Jakto, do gęby?

— To, co pan pali — objaśnił, wyciągając rękę po cygaro, które właśnie kończyłem.

Dałem mu. Wziął, plunął parę razy, żeby zgaścić żar, i włożył w usta do żucia...

— Cóż ci to pomoże? — zapytałem.

— Nie mam czasu na spanie. Mam robotę ze spluwaniem i muszę myśleć, jak obracać w gębie.

Istotnie zaprzestał drzemki, spluwając ustawicznie, i objeżdżał uważniej wyboje; ale za to dokuczał nam trzaskaniem z bicia, co mi się nie podobало, bo za każdym jego zamachem musiałem umykać z głową z obawy, aby mi czapki nie zerwał.

Prosiłem go, aby zaprzestał, w czem poparł mnie pan Jacek, ale nic nie pomogło.

— Nie jadę ze złodziejami — rzekł — żebym potrzebował cicho się sprawiać.

Nie było sposobu.

Przybyliśmy nareszcie na miejsce. Patrząc, dworzysko wielkie, z gankiem na słupkach, ale odrapane.

W oknach parę szyb zaklejonych papierem, a z jednej wyglądała poduszka, którą widać zatkało okno naprędce.

Przyjął nas zamorusany wyrostek i pies, jakiś szpic nieznośny, który z wielkiem ujadaniem i skomleniem wskoczył zaraz na bryczkę, spinając się na gwałt do naszych twarzy. Zdawało się, że postanowił sobie nie dać nam wysiąść.

Napróżno pan Jacek przemawiał doń: „a pójdziesz Bukiet!” szpic sobie z tego nic nie robił; za ledwie sekretnem kopnięciem nogi udało mi się wyrzucić go z bryki i tym sposobem uwolnić się od nieproszonych karesów.

Wysiedliśmy nareszcie i weszli do domu w asystencyi Bukieta, który nas gryzł po łydkach. Mieszkania pana Jacka opisywać nie będę, bo jego wygląd licował zupełnie z zewnętrzną fizyonomią dworu. Atmosfera jego, na którą składały się wyziewy tytoniowe wraz z nieokreślonym jakimś zaduchem, była tak niemiłą, że chciałem jechać zaraz dalej, ale ponieważ moim koniom należał się choć krótki odpoczynek, a przytem usłyszałem, że pan Jacek kazał wyrostkowi nastawić samowar i zrobić herbaty, której byłem bardzo spragniony, więc zostałem.

Bawiliśmy się tymczasem gawędą, której treścią były talenty i dziwny zmysł Bukieta. Zmuszony byłem podziwiać jego rozliczne figle, a zarazem i cierpliwość pana, który tego wszystkiego wyuczył.

Nareszcie wyrostek wniósł samowar, oraz odra-paną tacę z dwiema szklankami, które z wejrzenia

wydały mi się wcale nie myte, tylko świeżo naprędce wypłókanę.

Spostrzegł to nawet gospodarz i rzekł do wyrostka, biorąc Bukieta pod pachę:

— Marcinek, ty kundlu jeden! dlaczego nie myjesz nigdy szklanek?

— Jak to nigdy — odburknął Marcinek — myję nieraz, ale zawsze boję się, żeby nie stłuc; raz wlałem ukropu z samowaru i ledwiem się obrucił, a patrzę, a tu z jednej szklanki dwie.

— Ty! ty! — zawołał, pan grożąc, ręką.

Bukiet, zrozumiałwszy, że pan się gniewa, zaczął z pod pachy pańskiej okropnie ujadać na Marcinka, tak, że ten aż pokazał mu pięść i język, ale zrobił przytem taką jakąś minę, że szpic zaczął kręcić ogonem i wydzierać się do niego.

— Bierz szlanki i umyj zaraz! — rzekł pan, przytrzymując Bukieta.

Ale nie dowierzając Marcinkowi, przekonałem pana Jacka, że to niepotrzebne, bo możemy sami wypłókać je przy samowarze.

Widząc nieład i rozprężenie, jakie zdawały się panować w jego gospodarstwie, wszcząłem przy herbacie rozmowę o dobrych stronach świętego stanu małżeńskiego.

— Dlaczego się pan[nie] żenisz? — zapytałem.

— Byłbym to pewno zrobił — odrzekł — gdyby nie to, że o żonę trzeba się starać i konkurować, a to psia służba.

— Przez tę służbę każdy musi przejść koniecznie.

— Ja nie potrzebuję. Dałem już za wygraną; ślubowałem zostać kawalerem.

Rozgadawszy się, opowiedział mi parę wypadków z epoki swoich konkurów.

— Panna Domicela podobała mi się — rzekł, zaczepiając o jeden z nich — a zdawało mi się, że i ona spoglądała na mnie łaskawem okiem. Ale cóż, trzeba było oświadczyć się rodzicom; jak tu zrobić? Na noc posłano mi łóżko w pokoju ojca; zdecydowałem się więc korzystać ze sposobności. Po długiej gawędzie, kładziemy się i gasimy światło... no, myślę sobie, teraz pora; nie będzie mi patrzył w oczy, to pójdzie głazdziej. Biorę tedy na odwagę, i zaczynam... tedy owędy... aż nareszcie wygadałem wszystko, co miałem na sercu; ale zdziwiło mnie to, że nic nie odpowiadał... źle!.. unoszę się na łokciu, nadstawiam ucha, i... wyobraź sobie acan dobrodziej, słyszę, że śpi sobie w najlepsze... nawet zaczynał już pochrapywać. To mnie tak zraziło, że dałem za wygraną, i odjechałem zaraz raniuteńko.

— I nie powróciłeś pan?

— Nie.

— A! panie sąsiedzie... to już szczyt niewłaściwości...

— Trudno! ja już taki jestem... Innym razem znowu, swatano mnie z panną niezbyt młodą, ale dosyć posażną. Nie miałem ochoty, bo chociaż była z naszych stron, ale mieszkała przy krewnych we

Lwowie, a gdzież mnie jeździć umyślnie po to tyle mil i jeszcze do takiego miasta, jak Lwów. Ale jej szwagier zawiózł mnie tam gwałtem. Panna była niczego, ale nie podobało mi się, że zastałem w domu chmarę gości. Były i jakieś inne panny, a przy nich kilku wymuskanych wiercipiętów; wszystko to plotło, jak najęte, ale o czym? żebyś mi pan w łeb strzelił nie umiałbym powtórzyć. Nie mieszałem się naturalnie do rozmowy i siedziałem cicho; ale, słyszę, po tem i owem, zaczynają rozpowiadać sobie z wielkim ferworem o krokodylu, z którym jakieś Niemczyko przyjechało do Lwowa i pokazywało za pieniądze. Wtem owa panna zwraca się do mnie i mówi:

— Panie Doliwa, pan także z nami? pójdziemy wszyscy zobaczyć krokodyla. Czy pan wiesz, że tego nigdy jeszcze Lwów nie widział?

Pocałowałem pannę w rękę i przyrzekłem, że pójdę; ale myślę sobie, co to u dyabła za krokodyl? ptak, nie ptak? więc, żeby także należeć do rozmowy, pytam się:

— A jakie on ma piórka?

Na to wszyscy w śmiech. Mnie pociemniało w oczach, ale dodaję:

— Jeżeli czerwone albo niebieskie, to warto widzieć.

Na te słowa, jeszcze większy śmiech. Ostatnia pasya mnie porwała; zkąd ja mogłem wiedzieć, co to za bydlę ten krokodyl? Wziąłem za czapkę i wyszedłem, a że przyjechałem na cudzym wózku, bo wtenczas jeszcze nie było kolei, więc nająłem furman-

kę i tego samego dnia na całą noc wyjechałem do domu.

— I powiedz pan sam—zakonkludował pan Jacek, czy ja mogę myśleć o konkurach i ożenieniu się?

Musiąłem przyznać, że ma rację i pożegnałem go w tem naglebszem przekonaniu, że do śmierci dotrzyma swoich ślubów.

## *Na cmentarzu.*

NOWELLA.

Na kilka tygodni przed Zaduszkami, odbył się na cmentarzu Łyczakowskim smutny obrzęd pogrzebowy. Na najskromniejszym, jaki być może, dziecinnym karawaniku, przywieziono małą trumienkę, której towarzyszyło bardzo szczupłe gropeczko. Przewszystkiem zwracała uwagę młoda kobieta, raczej jeszcze dziewczyna, bez śladu łez na twarzy, ale z spojrzeniem jakby błędnem, przykutem do trumienki, po za którą zdawała się nic nie widzieć.

Była to matka dzieciny, którą chowano.

Otaczało ją kilka kumoszek, spełniających wiłdocznie z konieczności rolę urzędowych pocieszycielk. Płeć męska nie miała żadnego przedstawiciela. Pogrzeb odbył się bez wszelkich ceremonii. Ksiądz odmówił modlitwę i pokropił trumienkę, a gdy ją

spuszczono do grobu, matka wydała jęk, zdolny poruszyć najtwardsze serca i zrobiła poruszenie, jak gdyby chciała rzucić się za nią; ale nie pozwoliły na to kumoszki.

Scenę, która zakończyła smutny obrzęd, zbyt ciężko opisywać, bo któż jej sobie nie wyobrazi? Za chwilę wszystko się skończyło. Na cmentarzu pozostała świeżo usypana mogilka, a pod nią dziecina, rozpoczynająca sen wiekuisty, niczem nie zamącony; matkę przemocą wprowadzono napowrót w świat, który obiecywał jej tylko prześladowanie i wyciskanie łez gorzkich — bo cóż innego mogło czekać biedną dziewczynę, sierotę, która, pozbawiona wszelkiej opieki, uwierzywszy w naiwności ducha niegodziwcowi, nie umiała mu się oprzeć i pozwoliła się uwieść?

Świat obiecywał być dla niej bez litości, tak samo jak bez litości był ten, który, nadużywając swego stanowiska, wtrącił biedną ofiarę w przepaść.

Kumoszki, uprowadzając przemocą matkę od mogilki dziecięcia, spełniły swój obowiązek, ale nie ich nie obowiązywało opiekować się nią nadal. To też po owym pogrzebie, można było codziennie widzieć prześiadującą na cmentarzu tę samą kobietę. Pierwszego dnia zaraz zatknęła na mogilce mały krzyżyk drewniany, sklecony na prędkę przez jakiegoś litościwego stolarza. Drugiego, zawiesiła na krzyżku coś naksztalt wianeczka, uszytego ze starej wstążki, zdobiącej niegdyś sukienkę dziecka. Przy czynności tej, biedaczka zalewała się łzami i zanosiła od łkania, ale to przynosiło jej niejaką ulgę. Wyobrażała sobie, że

dzieciuka z mogilki uśmiecha się do owego wianuszka i wyciąga doń rączkę.

Nadszedł wreszcie dzień Zaduszek.

Dziewczyna przepędziła na cmentarzu niemal dzień cały. Widziała przygotowania do przystrojenia grobów i patrzyła na to osłupiałemi oczyma, a serce jej się krajało, że nie mogła swojej ukochanej mogilki przystroić w taki sam sposób, jak ci ludzie możni, którym zazdrościła po raz pierwszy w życiu.

Ściemniało się po trochu, a z nastaniem nocy cały cmentarz, zasiany światełkami, przedstawiał zaiste fantastyczny obraz, w który dziewczyna wpatrywała się jak nieprzytomna.

W pobliżu mogiły jej córeczki, wpadał w oczy wielki kamień grobowy, którego barwa świadczyła o kilkoletniej przynajmniej przeżołości.

O zmroku przyszła do tego grobu młoda para, mężczyzna i kobieta w wytwornych strojach, a za nimi lokaj z ogromnym wieńcem i dużym koszem pełnym lamp. Kobieta złożyła na kamieniu wieniec a lokaj poobstawił go lampami, które zapalał jedną po drugiej.

Nasza osierocona matka, mimowoli, dosłyszała część rozmowy, prowadzonej przez młodą parę.

— Więc to tu leży twoja ciotka? — rzekł mężczyzna.

— Tu, mój drogi — odpowiedziała kobieta — nie byłam tu od pogrzebu, a jednak trafiłam sama, i to powiedziawszy uklękła na grobie.

— Patrz, jaki ładny widok przedstawia teraz

cmentarz—odezwał się mężczyzna, gdy jego towarzyszka wstała, po odmówieniu krótkiej modlitwy. Warto się przejść trochę, taki ładny czas.

— Pójdźmy—odrzekła kobieta, wsuwając rękę pod jego ramię.

I odeszli od płonącego światłem grobowca, przy którym tem smutniejszą się wydawała mogiłka dziecka. Kontrast ten był tak rażącym, że matczyne serce krajało się z bólu. Nigdy sieroca dola nie wydawała jej się okropniejszą. Biedna jej dzieciaka leży w ciemnym, smutnym grobie, tak smutnym, że przy nim inne zdają się niemal wesołemi.

I zapadła w rodzaj jakiejś halucynacji. Widziała najwyraźniej swojego aniołka, spoczywającego w głębi mogiły, jak gdyby ta warstwa ziemi, która go pokrywała, była z przezroczystego kryształu. Oczka miał otwarte, zwrócone tęsknie do matki i zdające się skarżyć na swoje osamotnienie. Prosiły one błagalnie, aby i na jego mogiłce zabłysła choć jedna lampeczka; jemu tak smutno w tej ziemi!

Widzenie to było tak wyraźne, że kobieta nie mogła dłużej znosić tej męczarni.

Zerwała się z grobu, stanęła wyprężona i zawołała: „Będziesz miała lampkę córeczko” — poskoczyła do owego grobu, którego nikt nie zdawał się pilnować i wzięwszy z niego jedną lampkę, postawiła ją na swojej mogiłce pod krzyżykiem, w środek wianuszka ze wstążki.

Ale zaledwie zdążyła to uczynić, poczuła na

swojem ramieniu ciężką rękę i posłyszała gruby głos:

— A ty co robisz, złodziejko?

Odwróciła się, struchlała, poznała bowiem lokaja owych państwa, odwiedzających sąsiedni grób. Czuli, że powinna była się uniewinnić, odwołując się do serca tego człowieka, ale gdy ujrzała jego wzrok bezlitosny, słowa zamarły jej na ustach.

Po pewnej chwili dopiero zdołała wymówić, wznosząc ku niemu spojrzenie błagalne...

— Pani! moja córka nie ma ani jednej lampki... nie odbieraj mi tej!

I, o cud! pod wpływem tego spojrzenia i tej rozdzierającej serce prośby, wzrok nielitościwego człowieka stał się zupełnie innym, a nawet przyćmił się jakby łzą; wyraz twarzy z surowego przeszedł w dobroduszny, a serce stopniało, jak wosk na ogniu. Nie wyrzekł już na to ani jednego słowa, tylko poszedł do grobu, którego pilnował, wziął z niego trzy jeszcze lampki i przyniósł na mogiłkę, mruczając do siebie:

— Stara hrabina ma aż nadto dla siebie tych lampek.

I na grobie dzieciny nie było już tak samotnie jak przedtem; do późnej nocy siedziało na nim dwoje ludzi, strapiona matka i dozorca grobu hrabiny, gwarzając z sobą poufnie.

Ona opowiadała mu o swoim dziecku, on o swojej żonie i jeszcze młodszego dzieciny, które stracił był w jednym dniu na wsi przed trzema laty, i którym

zapewne jeszcze smutniej dziś w ich wspólnym grobie,  
bo kto wie, czy tam kto modli się za nimi?

I któż przewidzi, czy ten smutek dwojga osieroconych istot nie zmieni się w przyszłości w wesele? Wszak dziwnie się wszystko plecie na tym Bożym świecie — życie wstępuje w grób, z grobu powstaje życie — w smutku bywają czasem zarodki szczęścia a czas, ten czas, na który narzekamy, że tak leci w szalonym pędzie swoim, spełnia dobroczynną rolę lekarza, wlewając w nasze serca balsam gojący.

I któż szczęśliwszy? Czy my, którzy bez tego liściowego orędownictwa zmuszeni bylibyśmy pędzić żywot wiekuistej rozpacz, czy ci, którzy z nim już rachować się nie potrzebują?

Requiescant in pace!

02062



## SPIS RZECZY.

- I. My tak zawsze.
- II. Nie odrazu Kraków zbudowano.
- III. Sąsiedzi.
- IV. Co ją mogło obrazić?
- V. Pajaczek.
- VI. Suknia z Paryża.
- VII. A to się złapał!
- VIII. Nieboszczyk.
- IX. Powitanie dziedzica.
- X. Święto familijne.
- XI. Safandulski.
- XII. Na cmentarzu.

